NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 2 marca 1907. Nr. 9.

Pogrom w Odessie.

(Treść na stronie 2).



Pogrom w Odessie.

(Do illustracyi tytułowej).

Od pewnego czasu dochodziły głuche wieści z Odessy, że miejscowy „Związek prawdziwych Rosyan“ prześladuje tam na każdym kroku stu-



Posłowie stolicy Polski: Adwokat Fracniszek Nowodworski, wybrany posłem z Warszawy do Dumy.

dentów, to znów telegrafowano krążące uporczywie pogłoski o przygotowanym pogromie żydów odeskich. W istocie w ubiegłym tygodniu trwały przez kilka dni pogromy w Odessie, dokonywane przez najmitów i samych członków „Związku prawdziwych Rosyan“, mszczących się na ślepo za wynik świeżych wyborów do Dumy, które jak wiadomo, prawie w całem państwie nie wypadły po ich myśli.

W dniu, który okazał się dla miasta najgroźniejszy, przejechało rankiem przez ulice kilkadziesiąt sanek, wypełnionych motłochem; w każdych saniach siedziało 4—5 ludzi trzymających flaszki z wódką i strzelających z rewolwerów na wszystkie strony. Mieszkańcy chowali się w podwórzach, ale zanim kto zdołał się schować, już go banda opadła i biła niemiłosiernie. Napastnicy ścigali przechodniów, aż do mieszkań za nimi wpadając. Najbardziej prześladowano studentów i nawet małych uczniów, podobnie jak kilkunastoletnie dziewczątka. Gdzieniegdzie zapędziwszy się za uciekającą ofiarą, zastawała banda bramę zamkniętą. Wtedy osaczała dom i przemocą zdobywała bramę, wpadała w dziedziniec, strzelając bez przerwy, aż kule wlatywały do mieszkań i raniły kryjących się w popłochu lokatorów. Tu i owdzie motłoch rabował, rozbijał sklepy i kasy w prywatnych lokalach i biurach.

A tymczasem na ulicach wszędzie grasowali pogromcy bezkarnie, znęcając się nad najspokojniejszymi ludźmi. Niektóre partye operowały kijami, inne pałkami gumowemi, a prawie wszyscy napastnicy uzbrojeni byli w rewolwery.

Wśród ogromnego zamięszania, nie sposób stwierdzić ile osób zginęło, ile było rannych strzałami, a ile pobito do utraty przytomności. Do czego jednak dochodziła wściekłość pijanej tłuszczy, dowodzą wypadki, w których na ulicy w biały dzień rozdzierano na ćwierci napotkanych na drodze żydów.

Posłowie stolicy Polskiej.

W przystrojonej kosztem miasta sali kolumnowej Ratusza warszawskiego, odbył się akt wyboru, dwóch posłów stolicy Królestwa do zbierającej się 5 go marca na sesyę Dumy państwowej. Przez balotowanie gałkami miano z 83 wyborców warszawskich wybrać dwóch deputowanych do Petersburga. Wiadomo, że przy wyborach zwyciężyła lista koncentracyi narodowej, przeto nie mogły zajść niespodzianki przy głównym wyborze i na posłów powołano jedynych już kandydatów, a najwybitniejszych przedstawicieli stronnictwa narodowo-demokratycznego: Romana Dmowskiego i Franciszka Nowodworskiego, których portrety załączamy.

Adwokat przysięgły Franciszek Nowodworski, były redaktor naczelny „Kuryera warszawskiego“, jest zbyt dobrze w kraju znanym i głośnym, jako pierwszy poseł Warszawy do Dumy zeszłorocznej, byśmy potrzebowali powtarzać wszystko, co się o nim kilkakrotnie już u nas pisało.

Z większą zaś ciekawością spojrzą Czytelnicy na charakterystyczną fizyognomię nowego męża



Posłowie stolicy Polski: Redaktor Roman Dmowski, wybrany posłem z Warszawy do Dumy.

stanu, który niewątpliwie odegra rolę nader wybitną w dziejach współczesnych Królestwa Polskiego, na Romana Dmowskiego, którego podobizny nie znał jeszcze szerszy ogół. Przez tyle lat działalności konspiratorskiej ukrywał się Dmowski z konieczności, że nie dziw, iż fotografować się nie lubił, a i dziś nie chce na to czasu tracić, wiecznie zajęty pilnie robotą partyjną. On to bowiem kieruje endencyą, mając wszelkie dane do takiej roli wybitnej. Niegdyś sterował stworzonem przez siebie stronnictwem wszechpolskiem i redagował organ tej partyi („Przegląd wszechpolski“). Głośną była jego książka „Myśli współczesnego Polaka“. Od chwili, gdy mógł wystąpić na publiczną widownię w Warszawie, stanął na czele tamtejszych narodowych demokratów, których organem głównym jest w tej chwili redagowana przez Dmowskiego, a na wzór pism angielskich przekształcona „Gazeta Polska. Publiczność miała sposobność kilkakrotnie w ostatnim czasie słyszeć redaktora Dmowskiego jako mówcę na wiecach publicz-



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.

25-lecie lwowskiej »Lutni«: 1. R. Makarewicz, 2. K. Czerny, 3. A. Balasits, 4. Wachniania, 5. J. Gall, 6. Pawlików-Nowakowska.

nych i poznała w nim istotnie polityka tęgiego, pełnego energii i trzeźwości praktycznej i oratora świetnego, który i w Kole Polskiem w Dumie odegra rolę niewątpliwie kierującą.



Polska Łódź: Aleksander Babicki, adwokat przysięgły, wybrany posłem do Dumy z miasta Łodzi.

Polska Łódź.

Największe miasto fabryczne w Polsce, Łódź, znajduje się w nieszczęśliwem położeniu, że zawsze w niej chcieliby rej wodzić Niemcy, których tylu jest pomiędzy fabrykantami. Oni zawsze mają ochotę ton nadawać życiu w mieście, usiłując je germanizować na każdym kroku. Tymczasem krocie mieszkańców, których większość stanowią rodziny robotników fabrycznych, to Polacy, którzy nie pozwolą by garstka niemieckich przybyszów, wraz z żydami rosyjskimi, zajmującymi się handlem w tem wielkoprzemysłowem mieście, zatracała polski charakter Łodzi. Więc kiedy przychodzi do wyborów w „polskim Manchesterze“, trzeba używać wszelkich sposobów, by przez jaki przypadek nie reprezentował Łodzi w Dumie ktoś niepowołany. Tym razem stosunki się tak ułożyły, że w ostatniej chwili do walki stanęły tylko dwie listy wyborcze, z których każda popiera kandydaturę polskiego adwokata. Zjednoczenie postępowe postawiło mecenasa Alek. Mogilnickiego, a koncentracya narodowa mec. Aleksandra Babickiego. Przy prowyborach zwyciężyła, jak prawie wszędzie w Królestwie lista koncentracyi, więc wybór Babickiego został zapewniony, poczem wybór samego posła był już jedynie formalnością. Zamieszczamy dziś fotografię zwycięskiego kandydata, w którym przybywa Kołu polskiemu w Dumie siła bardzo pożyteczna.



Samobójca filantropem: Ś. p. Maryan Hołyński.

Samobójca filantropem.

Nie małe wrażenie wywarła we Lwowie przed kilkunastu dniami tragiczna, samobójcza śmierć znanego tam powszechnie młodego człowieka, Maryana Hołyńskiego, urzędnika Tow. kredytowego ziemskiego. Wrażenie wypadkiem tym wywołane było dlatego tak duże, iż samobójca, człowiek zamożny, nadzwyczaj elegancki i światowy, zawsze wesoły i dowcipny, nie zdradzał do ostatnich dni niczem tragedyi, jaka się w duszy jego rozgrywała. Bliżsi znajomi jego wiedzieli wprawdzie, iż śp. Hołyński był człowiekiem nerwowym, że z tego powodu musiał odbywać dłuższe kuracye, nikt jednak nie przypuszczał, że rozdrażnienie nerwowe dojdzie u niego do takiego stopnia, iż włoży mu broń zabójczą do ręki.

Obok wielkiego wrażenia wywołała tragiczna śmierć śp. Hołyńskiego także szczere i powszechne współczucie. Zmarły bowiem cieszył się ogólną sympatyą wśród szerokich kół Lwowa. Charakterystycznem zaś jest, iż w testamencie przed śmiercią sporządzonym, zapisał znaczną część swego majątku, 20.000 kor. na rzecz schroniska Brata Alberta, przeznaczonego dla najbiedniejszych z biednych, dla tych, co dachu nad głową nie mają.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret śp. Hołyńskiego,

Dwudziestopięciolecie lwowskiej „Lutni“.

Przed kilku miesiącami podaliśmy na tem miejscu krótki zarys dwudziestopięcioletniej działalności sympatycznego towarzystwa śpiewackiego „Lutnia“ we Lwowie. Odłożona wówczas uroczystość jubileuszowa odbyła się w ubiegłym tygodniu i była dowodem z jednej strony, jak wysoką jest kultura artystyczna „Lutni“ i drugiej, jak powszechną sympatyą i życzliwością wśród ogółu społeczeństwa się cieszy ta drużyna.

Rozpoczął uroczystość przepiękny koncert w sali „Domu narodnego“, w program tego koncertu wchodziły utwory wyłącznie polskich kompozytorów, wykonane wzorowo przez dzielnych „Lutnistów“. Podczas koncertu urządzona została na cześć założycieli „Lutni“ i jej obecnych kierowników, bardzo serdeczna owacya. Wręczono mianowicie prezesowi drowi Karolowi Czernemu i dyrygentowi p. Stanisławowi Cetwińskiemu piękne, srebrne wieńce, a p. Walichiewicz, imieniem członków wspierających towarzystwa, zwrócił się do nich z ciepłą przemową. Po odpowiedzi prezesa dr. Czernego, wystąpiły delegacye: „Echa“, Chóru akademickiego, Tow. dziennikarzy polskich, wręczając jubilatom ogromne wieńce laurowe z wstęgami o barwach narodowych.

Dalszy ciąg uroczystości odbył się w lokalnościach „Lutni“ podczas bankietu. Zebranie było bardzo liczne, przybyli bowiem prócz „Lutnistów“ obecnych i dawnych, przedstawiciele wielu towarzystw, muzycy i krytycy lwowscy i t. d. Wesoło i gwarno było przy suto zastawionych stołach a do ożywienia zebrania przyczyniły się nie mało panie, które w bardzo poważnej liczbie w bankiecie wzięły udział.

Pamiątką miłą dla uczestników uroczystości jubileuszowej, będzie zdjęcie fotograficzne, które w dzisiejszym numerze reprodukujemy, a na którem widzimy założyciela i pierwszego prezesa „Lutni“, p. Romualda Makarewicza (1), obok obecnego jej presesa mecenasa K. Czernego (2), dalej jednego z byłych prezesów prof. dr. A. Balasitsa (3), b. wiceprezesa p. Wachnianiua (4); nadto są tam członkowie wydziału, oraz kilku śpiewaków, którzy od chwili zawiązania „Lutni“ służą wiernie w jej szeregach; wreszcie znakomity muzyk i kompozytor p. Jan Gall (5) i znana śpiewaczka p. Pawlików-Nowakowska (6).



Ustąpienie prokuratora: Dr. Jan Tokarz, przenoszący się do Wiednia, jako redaktor polskiego wydania «Dziennika Ustaw państwa«.



Fot. A. Drankow w Petersburgu.

Wybory w Rosyi do nowej Dumy: Jedno z biur wyborczych w Petersburgu podczas oddawania głosów.

Ustąpienie prokuratora.

Niewdzięcznym jest nader zawód oskarżyciela publicznego, który z mocy swego urzędu zmuszony jest wszędzie i w każdym upatrywać winowajcę, a to w interesie wypośrodkowania prawdy i za-



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Wybory w Rosyi do nowej Dumy: Poseł książę Dołgorukow.

dość uczynienia sprawiedliwości. Dlatego też tylko niewielu ludzi zdobywa sobie na stanowisku prokuratora uznanie i sympatyę ogółu. Tyle potrzebuje taktu, ogłędności, poczucia humanitarnego, oraz sprężystości w wykonywaniu swych obowiązków, że do „białych kruków“ zaliczamy tych, co, opuszczając swe stanowisko, zostawiają po sobie dobrą pamięć.

Do takich wyjątkowych przedstawicieli groźnej Temidy, należy bezsprzecznie zastępca prokuratora państwa w Krakowie, dr Jan Tokarz, który w tych dniach przenosi się do Wiednia na stanowisko redaktora polskiego wydania „Dziennika Ustaw państwa“.

Ustępujący prokurator przeniesiony został z Rzeszowa do Krakowa przed pięciu laty i występował tu, jako oskarżyciel publiczny, w głośnych sprawach byłego komisarza policyi Balickiego, Angelusa i mordercy Doktora i w. in.

Jako jeden z najzdolniejszych prawników młodszej generacyi i najtęższych urzędników prokuratoryi państwa, cieszył się dr. Tokarz ogólnem uznaniem sfer zawodowych naszego miasta.

I na nowem stanowisku niezawodnie znajdzie dr. Tokarz sposobność odznaczenia się, jako człowiek umiejący dobrze mówić i pisać po polsku. Spodziewać się należy, że odtąd polskie wydanie „Dziennika Ustaw państwa“ będzie naprawdę w naszym ojczystym języku redagowane, a nie w jakiemś galicyjskiem narzeczu. Stąd oczywista wypłynie korzyść dla wszystkich, co bywają zmuszeni do tego ważnego zbioru ustaw zaglądać, gdyż będą mogli je zrozumieć, nie posiłkując się niemieckim tekstem.

Wybory do nowej Dumy.

Premier rosyjski Stołypin utrzymuje się dotąd na powierzchni, pomimo, że ze wszystkich stron, tak dobrze ze sfer dworskich, jak i szerokich kół społeczeństwa rosyjskiego biją weń nieustanne gromy. Dotrzymał on wprawdzie obietnicy i przeprowadził wybory do nowej Dumy, wielka jednak kwestya, czy ich wynik zadowoli sfery rządzące i czy spowoduje powszechne uspokojenie — tak potrzebne skołatanej wewnętrznemi zamieszkami Rosyi.

I tak w chwili, gdy piszemy te słowa, na 524 posłów, tworzących parlament rosyjski, znany jest wybór 448 posłów. W tej liczbie mieści się 85. należących do stronnictw monarchistycznych, 42 umiarkowanych i 276 członków lewicy (w tem 72 kadetów), reszta przypada na narodowców.

Dzienniki rosyjskie przewidują, że większość, otwarcie rząd popierająca, będzie liczyła mało co więcej nad 100 głosów. A i z tej strony Stołypin może spodziewać się chwilami ostrych ataków, bo „istinno russkieie ludi“ uważają jego kurs polityczny za zbyt liberalny, czyli, powiedzmy otwarcie, za mało reakcyjny. Że zaś lewica zwalczać go będzie z mniejszą animozyą, niż w Dumie poprzedniej, to zupełnie pewnem. Jedynie kadeci wedle informacyi dzienników, utrzymujących styczność z tem stronnictwem, będą się starali uczynić Dumę zdolną do realnej pracy. Oczywiście, że szalona presya, jaką rząd rozwinął w czasie wyborów, byle przeprzeć przychylnych sobie kandydatów, wywołała wielkie rozgoryczenie wśród wyborców i odbiie się na stosunku nowowybranych do gabinetu Stołypina. A i to także zmienia postać nowej Dumy, że do jej składu wchodzi obecnie 78 socyalnych demokratów i 11 socyalistów-rewolucyonistów, których w poprzedniej nie było.

W dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“ podajemy dwa zdjęcia, przedstawiające wnętrze lokali wyborczych w Petersburgu, oraz podobizny trzech najwybitniejszych posłów kadeckich: ks. Dołgorukiego, Struwego i Hessena, którym udało się ujść prześladowań rządu, tak, że nie odebrano im biernego prawa wyborczego. Pierwszy z tych posłów jest kandydatem lewicy na prezydenta Dumy, a zatem wybór jego jest pewny. Czy jednak długo danem mu będzie przewodniczyć obradom tego ciała parlamentarnego — to pytanie, które niedaleka przyszłość rozstrzygnie. W każdym razie miecz Damoklesa, w postaci dekretu rozwiązującego, wisieć będzie nad nową Dumą, jeżeli nie okaże się posłuszną woli sfer rządzących.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Wybory w Rosyi do nowej Dumy: Poseł Hessen.

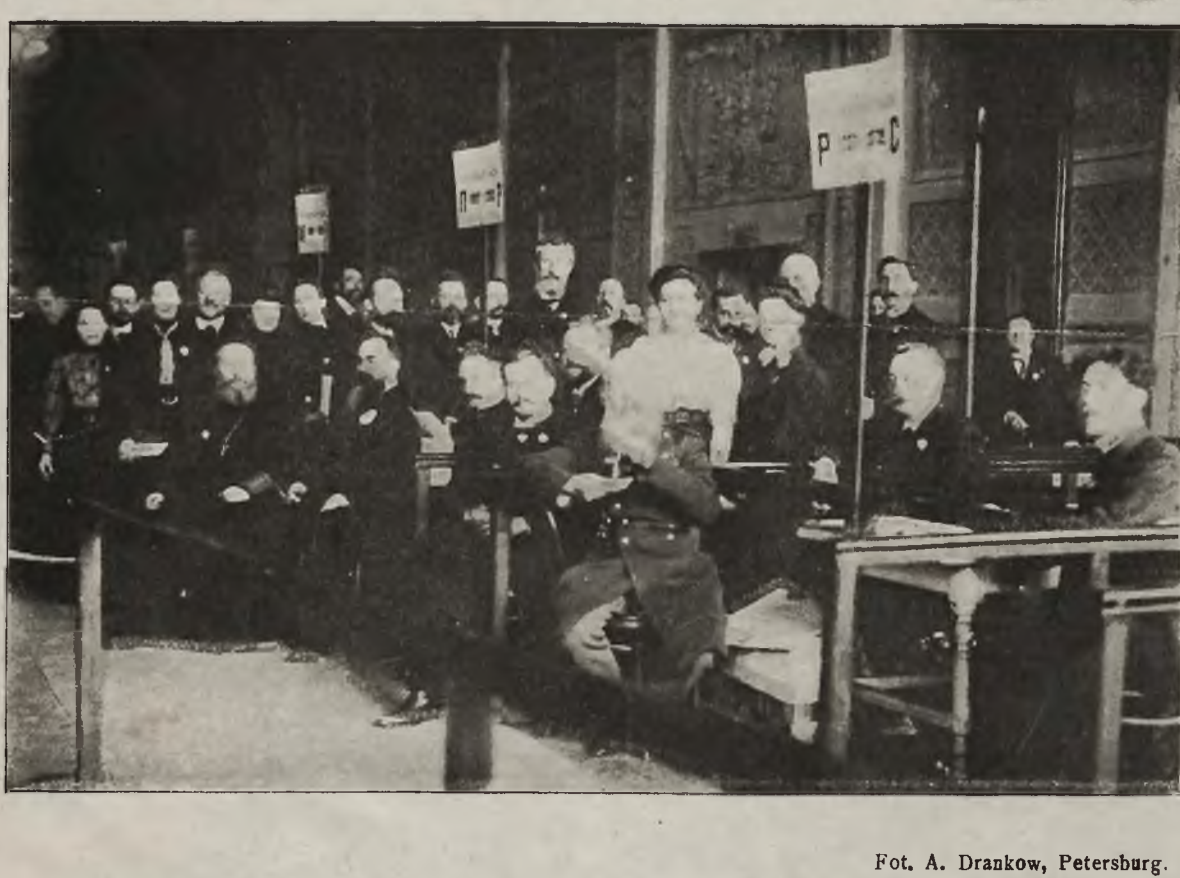
Nowy prokurator wojeny w Rosyi.

(Do artykułu na stronie 15)

Niezbyt dawno bardzo silne wrażenie wśród biurokracyi i sfer wojskowych w Rosyi sprawiło zamordowanie przez przebranego za żołnierza rewolucyonistę gen. Pawłowa, naczelnego prokuratora wojennego w Petersburgu.

Jego następcą zamianowano generała porucznika Gienricha Daniłłowicza Rylkego. Ze zdziwieniem dowiedziało się polskie społeczeństwo, że nowy główny prokurator wojenny jest Polakiem. Podobno nietylko z pochodzenia, ale generał Henryk Rylke ma się nawet przyznawać do tego, iż jest istotnie naszym rodakiem. Co do wyznania religijnego, sam nie jest wprawdzie katolikiem, a należy do kościoła ewangelicko-reformowanego, czyli kalwińskiego, lecz ożeniony jest z katoliczką i również Polką z Królestwa.

Stanowisko głównego prokuratora wojennego w Rosyi w dzisiejszych czasach nie należy wcale do przyjemnych, więc tem mniej nie przynosi zaszczytu naszemu ziomkowi. To też pisma skrajnych obozów skorzystały z tej okazyi, by nominacyę generała Rylkego powitać w sposób drwiący, iż Królestwo Polskie zdobyło już „ministra-rodaka“.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Wybory w Rosyi do nowej Dumy: Jedno z biur wyborczych w Petersburgu podczas oddawania głosów.



Fot. A. Drankow w Petersburgu.
Wybory w Rosyi do nowej Dumy: Poseł Struwe.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

11 Ciąg dalszy.

— Pilno, nie pilno — mówił gospodarz, szykując obrok koniowi — a nie zamęczę bydlęcia dla waszej fantazyi.

Niebo przetarło się trochę, gwiazdy tu i owdzie przebłyskiwały, ze wschodu pociągał wiatr, a oczy przywykłe do ciemności, poczęły rozróżniać bliższe i dalsze kontury przedmiotów.

Towarzysze położyli się opodal na murawie i zaczęli się naradzać.

— Czy nie było nam lepiej ruszyć na Małkinię i koleją do Warszawy, aniżeli tłuc się ku Białostokowi? — powiedział z goryczą jeden z towarzyszy.

— Musi wiedzieć Bal, co robi, jego w tem głowa — uspokajał Młot.

— A nasze gardło — mruknął drugi towarzysz.

— Towarzysze, nie wiedział on, że furmanek nie będzie, to raz, no i zważcie, że nas będą czekali na wszystkich stacyach w Warszawie, od tego są depesze i telefony — tłómaczył Marceli — kto wie nawet, czy w tę stronę wyszlą w pogoń kozaków, bo spodziewają się, że my gonimy ku Warszawie.

— Niby to racya, ale cały dzień wlec się do Białegostoka, to pachnie strażnikami i rewizyą.

— Hej, gdyby dobre konie! — westchnął Młot.

— Pójdę spytać furmana, może co poradzi — wstał jeden z towarzyszy.

Po chwili usłyszeli odpowiedź zaspanego chłopa:

— Po dniu możeby się który i znalazł, ale po nocy nijakim sposobem, ani sam znajdę, ani nikt nie pojedzie.

— A kiedyż my się dowleczemy waszą chabetą? — zawołał głosem rozdrażnionym.

— Konia mam, nie żydowską chabetę — odpowiedział gniewnie — i nie robicie mi łaski siedzący na wozie, wolna wam droga, idźcie piechoty... ja pojadę, aż się rozwidni.

Dopiero po usilnych namowach zgodził się jechać, ale tylko z dwowa towarzyszami, bo czteru nie uciągnie koń lekko.

Po krótkiej naradzie postanowiono, aby Młot z Marcelkiem jechali wozem, a dwaj towarzysze pójdą pieszo

W tych stronach nie będą już siebie szukali, spotkają się w Warszawie i rozeszli się, rozpytawszy chłopa dokładnie o drogę.

Było już blisko czwartej po północy, gdy Bartek napoiwszy konia ruszył dalej. Lecz mimo pozbycia się ciężaru, wóz wlókł się po piaszczystej drodze, już i rozwidniać się zaczęło, a gdzieś w oddali zabłysnął ogień po przez okna chat. Ludzie budzili się do rannej pracy.

— Odprawmy chyba tę furmankę, bo i ślimak nas dogoni — rzekł zniechęcony Młot.

— Dojedźmy chociaż do wsi — doradzał Marceli.

— Po co zwracać uwagę, alboż sami nie trafimy?

— Ano niech będzie na twojem.

Marcelek płacił i dodał nietylko rubla za podwiezienie dwóch towarzyszy, ale usilnie prosił chłopa, ażeby w razie pytania wyparł się, że woził kogokolwiek, bo może pójść pod sąd.

Szli dalej przed siebie i rozglądając się ciekawie w około, szukali zamożnej chaty, w której przypuszczalnie mogły być konie.

Już na wschodzie niebo przybladło i cienie nocy stawały się szarawe, zdawało się, że światło dalekie przesiewa się na ziemię i rozprasza królestwo nocy. Drzewa przydrożne kąpały się w mgle pół-przeźroczystej; lasy jednak dalsze stały jak skały czarne, tylko poszczególne wierzchołki drzew rysowały się ledwie pochwytnemi konturami. Na ugorach i rżyskach panowała niepodzielnie ciemna szarzyzna, a wśród niej błyszczały jak błędne ogniki migotliwe światła czerwone, bijące z okien chat.

Postanowili wejść do obszernego obejścia, lecz zaledwie zbliżyli się o kilkanaście kroków, gdy rozległo się gwałtowne ujadanie psa. Uzbroiwszy się w kije doszli do zamkniętej bramy.

Zawzięte szczekanie psa wywabiło z chałupy gospodarza.

— Kto tam?

— Puście gospodarzu, mamy pilny interes do was.

— Ale ja po nocy nie mam do nikogo interesu.

— Toż dzień wstaje jak wół — zawołał Młot wchodząc w obejście i dopadającego psa ściągnął kijem.

— Czego chcecie? — spytał ostro gospodarz, rozglądając się za drągiem, a w rozświetlonych chwilowo sieniach pokazała się druga postać. Marcelek postąpił kilka kroków i rzekł, zdejmując czapkę.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Przytrafiło się nam nieszczęście, konie ustały nam w drodze, przyszliśmy do was z prośbą o poratowanie... Zapłacimy dobrze, ale spieszno nam do pociągu na kolej.

— Kiedy przywitaliście się po bożemu, to wam rzetelnie odpowiem. Mam parę koni, ale dziś jadę na szarwark i ani sposób jechać mi na stacyę.

— A u sąsiadów nie dostaniemy? — mówił Młot, rozglądając się.

— Słuchaj matka — zwrócił się gospodarz do żony — a możeby u Jana?

— Ale!... Toż wczoraj mówiła mi jego, że obłożnie zachorzał, gdzie mu jechać, a z chłopcem nie puści koni.

— To on chory? Dlaczegóż mi nic nie powiedziałaś.

— Dlaczego? — rozkrzyczała się, — a kiedy przywlokłeś się do domu? Czy tak robi gospodarz? Sama musiałam oporządzić konie, uciąć sieczki, zadać im obroku, bo i cóż winno nieme bydlątko, że gospodarz baluje w karczmie z kamratami od kieliszka.

— Cichoj, cichoj... nie wstyd ci ludzi?

— Tobie wstyd... Niech wiedzą, jakiś ty gospodarz...

— Moja gospodyni — przerwał Marceli — a gdzieżby dostać koni?

— A czy tu karczma? Czy ja faktorka wasza? O konie się zamawiacie, aby podpatrzeć! Znamy się na takich. Idźcie, pókim dobra — i postąpiła groźnie naprzód.

Pies uważał za stosowne wspomódz swą żywicielkę i z ujadaniem rzucił się na przybyłych.

— Chodźmy — rzekł Młot — co tu gadać z taką wściekłą babą.

— Ja wściekła baba! — wrzasnęła — a ty urwipołciu, szubieniczniku — i posypały się inne wyzwiska, aż wreszcie wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Wstąpili do trzech chat innych, lecz że to był czas orki i siejby, odmówiono im koni.

Już zrobił się jasny dzień, dowiedziawszy się tedy, którą drogą można się dostać do najbliższej stacyi, opuścili małą wioskę. Wskazano im drogę boczną, wprawdzie cięższą, ale i krótszą.

Szli szybkim krokiem, gdyż według rozkładu jazdy, który przezorny Marcelek wziął ze sobą, zostawało im trzy godziny do odejścia pociągu, a mieli do stacyi dwie mile z okładem.

— Ciężko mi, głodnym — mruknął Marceli, ocierając chustką zroszone czoło.

— A myślisz, że mnie lekko — odpowiedział Młot — mam i ja marynarkę, mundur i palto, nie licząc papierów pieniężnych.

— Gdzie schowałeś pieniądze?

— W kieszeniach marynarki, a część za koszulą... pieką mnie.

— I ja tak samo — rzekł Marceli — hej, gdyby tak zrzucić mundur, byłoby nam lżej.

— To i zrzućmy, ale aż w lesie.

Szli dość płytkim wąwozem, którego ściany porośnięte były głogami, dzikiemi różami, jeżynami, a pomiędzy niskiemi wzgórzami wił się drobny potoczek.

Poza tem wgłębieniem drogi, pagórki przechodziły w równinę, a o jaką wiorstę czernił się las sosnowy.

Po wrażeniach przebytych przy zabraniu kasy, po nieprzespanej nocy, po dość długiej pieszej wędrówce w ubraniu zbyt ciężkiem, obaj czuli się osłabieni, apatyczni, a jedynem ich pragnieniem był wypoczynek.

— Gdybym legł, zasnąłbym jak kamień—rzekł Marceli powłócząc nogami.

— Ba, gdyby to można — westchnął Młot — ale powierzono nam partyjne pieniądze, musimy oddać, choćby człowiek miał zdechnąć.

— Ten Bal ma jednak głowę — uśmiechnął się Marceli — wypłatał on im figla i jakiego jeszcze!

— Gdyby nas stu było, nie dalibyśmy rady bez Bala — powiedział Młot z wielkiem uznaniem.

— To się wie... a z pozoru taki elegancik, wiercipięta, brukotłuk...

— Hm... bywa tak, jeden ma siłę w rękach, a inny w głowie.

— Wolałbym mieć w głowie — dodał Marcelek.

— Jak komu Pan Bóg da... I co tam za rejwach w mieście, byle jemu nic złego się nie stało.

— E, da on sobie radę... a za nami pewno wysłano pogoń.

— Pewno... tylko, że będą nas szukali po gościńcach, nie na bocznych.

— Byle raz być w wagonie to już jakby w domu i wyśpię się — ziewnął głośno Marceli.

Do uszu ich doleciało dalekie rżenie konia. Odwrócili się i o jakie pięćset kroków ujrzeli pędzącego kozaka.

Pierwszym, mimowolnym odruchem było nagłe przyspieszenie kroku, aby się schronić do lasu, leżącego o kilkaset kroków.

Pierwszy Młot zmiarkował, że ucieczka pogorszy ich położenie, schwycił za rękaw Marcela, powstrzymał i szybko rzekł:

— Nie biegnij... ty z prawej, ja z lewej, uderzymy na niego.

— Strzelę! — wyciągnął rewolwer Marceli.

— Ani się waż... ściągniemy wszystkich.

W czasie tej narady, co chwila było słychać wrzask kozaka:

— Pastoj!... Pastoj, sukin syn!

Obrócili się, kozak w lewej ręce miał nahajkę a w prawej karabinek, który gotował do strzału.

— Strzeli i zabije — szepnął Marceli.

— Z konia nie trafi.

Już posłyszeli chrapliwy oddech zmęczonego konia, obejrzeli się i stanęli po obu stronach drogi, zostawiając środek wolny.

Na pędzącym koniu siedział kozak, chłop silny, rosły; na szerokiej twarzy, porośniętej rzadkim, rudawym zarostem, błyszczały złowrogo małe oczka, a na szerokich wargach miał uśmiech tryumfu.

Karabinek przerzucił na ramię i smagając konia nahajką wrzeszczał:

— A rozbójniki! Sukin syny Pąliaki! Nie ujdiosz!

Zbliżywszy się ku nim w galopie, krzyknął:

— Na koliena, padlecy!

Marceli ukląkł na jedno kolano, aby każdej chwili być gotowym do skoku; Młot nie zdążył kleknąć i na niego wpadł z furyą kozak, ciął nahajem w głowę, lecz Młot uchylił się i dostał po ramieniu.

W tej chwili skoczył Marceli, chwytając za pas szabli. Kozak odwrócił głowę i z rozmachem podniósł nahaj, lecz zanim zdążył go spuścić, schwycił go Młot za piersi, szarpnął silnie i kozak padł mu pod nogi. Chcąc bronić się rękami, puścił konia, który w szalonym pędzie zwrócił się ku miastu.

Rozpoczęła się walka. Obie strony wiedziały że tu idzie o życie. Kozak uwolniwszy się z uścisku Młota, odskoczył na krok i w ręku zabłysła klinga sztyletu. Gotował się do skoku i dzikiemi oczyma wpatrywał się w Młota, śledzącego najmniejszy ruch jego. Spotkały się ich oczy, nienawiść biła z nich i wściekłość, a kozak widząc przed sobą bezbronnego, zaśmiał się z tryumfem. W tem Młot wyciągnął przed siebie rękę i huknął strzał wprost pomiędzy oczy nachylonego kozaka. Zatoczył się, rękami szukał oparcia i runął bez jęku na ziemię.

Uchodźmy! — zawołał Młot i pędem biegli do lasu.

Wpadli zdyszani i za pierwszym większym krzakiem położyli się na ziemi.

Przez dobrą chwilę leżeli bez ruchu, wreszcie rzekł Marceli.

— Zakazałeś strzelać, a pierwszy strzeliłeś... cóż będzie?

— Nie mogłem inaczej, byłby mnie zranił i nie dojechałbym do Warszawy.

— A teraz dojedziesz? — zaśmiał się drwiąco Marceli.

— Zawsze pozbyliśmy się jednego.

— Lecz gdy go znajdą, pójdą obławą na nas... Ja mam inny plan — oparł głowę na ręku i mówił z namysłem — pierwsza rzecz pozbyć się mun-

durów, dobrze umieścić pieniądze, dostać koni w Jedlinie za każdą cenę i jechać na kolej.

— Dobrze, tylko odetchnę.

— Niema czasu... za chwilę może będzie za późno — wstał, rozbierał się z palta i zrzucał mundur.

Za jego przykładem poszedł Młot, a gdy oba mundury leżały na ziemi, zabrał je Marceli i wyszukawszy wykrotu rzucił je przysypawszy ziemią i liśćmi.

Ruszyli krajem lasu nad drogą i wkrótce ujrzeli wieś obszerną, leżącą w kotlinie.

— Nie wchodźmy do wsi drogą, mogą być strażnicy, obejdźmy po pod ogrody — doradzał Młot.

— Za wsią nie znajdę koni, a kiedyś się zdał na moją komendę, to słuchaj — powiedział Marceli rozdrażnionym głosem.

Zaledwie minęli pierwsze chaty i dochodzili do Męki Pańskiej, gdy z bocznej uliczki wyszedł na główną drogę gospodarz leciwy z wygoloną twarzą i jął bardzo bacznie przyglądać się dwom podróżnym, którzy zdjąwszy czapki przed figurą, zwolna zbliżyli się ku niemu.

— Niech będzie pochwalony! — zaczął Marceli.

— Na wieki wieków... a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Zdaleka, bo aż za Jabłonką, wieleśmy też zdrożeni, bo o konie trudno.

— Nie dziwota, czas roboczy... a gdzie podążacie?

— Za robotą do Łap... nie moglibyśmy tu dostać koni, bo nam spieszno.

Chłop uśmiechnął się, jeszcze raz bacznie przyjrzał się im i po chwili rzekł:

— Nie dziwny mi wasz pośpiech... ale roboty nie dostaniecie chyba, bo i ubranie pocięte i plany jakoweś... coś niedobrego było z wami.

Spojrzeli obaj po sobie. Twarze mieli za[illegible]nięte brudne, zapylone; ubranie powalane, spękane na ramieniu i plecach od uderzenia nahajką a na paltocie Młota widać było zaschnięte plamy krwi.

Marceli z natury był szczery i ufający, spojrzawszy więc w dobre oczy chłopa, postanowił zwierzyć mu się z konieczności ucieczki i zaczął:

— Prawdę mówicie ojcze, mieliśmy przypadek, ale stało się i ziemia pali się pod naszemi nogami.

— Hm... przykładni z was katolicy, widziałem... chybaście dobrzy ludzie.

— Szliśmy spokojnie drogą i napadł na nas kozak, zaczął smagać nahajem, poniewierać, że nie wytrzymanie ludzkie...

— I przebrała się miara cierpliwości...

— Zginął!? — zapytał chłop zaciekawiony.

— Tak się i stało.

— Aha, teraz rozumiem, że wam pilno — skinął głową — trzeba wam uciekać, bo wisieć będziecie... hm, może się co poradzi — myślał przez chwilę.

— Pójdziecie na wieś i potem na lewo miedzami, a dziewiąte obejście to moje, będę tam... ostrożnie, bo strażnik we wsi, pije w karczmie, ale zawsze i on ma oczy.

Ledwie skończył, gdy zbliżyło się troje ludzi, dwie kobiety i stary chłop, zaciekawieni przybyszami. Gospodarz zaczął więc głośno:

— Nie tędy wam droga do Pólkowiec, wrócicie do lasu i tam na prawo... z Bogiem!

— Panu Bogu zostawujem — skłonili się i wrócili tą samą drogą, skąd przyszli.

Gdy odeszli kawałek drogą szepnął Młot z miną wątpliwą:

— Okrutnieś śmiały, zwierzyłeś się... a jeśli zdradzi?

— Nasz... Łomżyński? Może gdzieindziej pod miastem, ale nie u nas.

— Jesteś zadufany... czas na śmierć zawsze będzie.

— Ja chcę żyć — mruknął Marceli.

Szli miedzą a obawa towarzyszyła im, bo byli w szczerem polu, na oczach wszystkich z drogi, gdyż dopiero koniec wsi zagłębiał się w las.

Naliczyli dziewiąte obejście i gdy z pewnem wahaniem rozglądali się, ujrzeli gospodarza, dającego im znaki, aby się zbliżyli.

— Zrzućcie wierzchnie ubrania — mówił otwierając stodołę — i umyjcie się po ludzku — wskazał na wodopój przy studni — stojącej między budynkami gospodarskiemi.

Zaprowadził ich następnie do świetlicy i przez otwarte drzwi do izby po drugiej stronie sieni zawołał:

— Basiu! daj nam coniebądź przegryźć, bo są majstry do wiatraku.

— Zaraz tatusiu.

Gdy zasiedli spytał gospodarz:

— Cóżeście robili za Jabłonką?

Młot był już przygotowany na odpowiedź.

— Montowaliśmy gorzelnię i wracamy do domu, do Białegostoka.

— Dużoście zarobili?

— Za dwa tygodnie mamy we dwóch pięćdziesiąt rubli.

— Ładny grosz — mruknął.



Kozak odwrócił głowę i z rozmachem podniósł nahaj....

Weszła ładna, młoda dziewczyna, obrzuciła gości ciekawie piwnemi oczyma, a spotkawszy wzrok Marcela zarumieniła się lekko i spuściła oczy, ustawiając na stole barszcz, ziemniaki okraszone słoniną i bochenek chleba.

Obaj byli zgłodniali, to też długo nie dali się prosić i gorliwie wzięli się do jadła.

Gdy zaspokoili pierwszy głód, zwrócił się Marceli do gospodarza:

— Panu Bogu dzięki i wam, posililiśmy się.. a teraz w drogę. Nie pożałuje grosza, byle dostać się na kolej.

Gospodarz spojrzał na jednego i drugiego i po chwili szeptem spytał:

— Gdzie on leży?

— Za lasem przy wzgórkach.

— Chwała Tobie Panie, że nie na naszych gruntach, wieś by przetrzęśli, po sądach wodzili, kontrybucyą by karali...

— No, a konie? — naglił Marceli.

— Cóżeście tak gorąco kąpani! — zaśmiał się gospodarz — konie dać lekko, a i tak was pochwycą, bo pewno kozacy kupą szli na obławę. Tu trzeba kalkulować, abyście uszli cało... Widział was kto?

— Pewno pastuchy albo oracze widzieli, jakeśmy szli.

— To pod batami powiedzą niechybnie... hm... chyba jako chłopi pójdziecie... nie może być inaczej.

Bardzo mądrą wydała im się ta rada i przyjęli z wdzięcznością. Ułożyli się co do ceny sukman, kapeluszy, pasów i chociaż przepłacili, nie zmniejszyło to ich zadowolenia, bo nadzieja wyzwolenia się z opałów stawała się bliższą.

Idąc za radą gospodarza ogolili wąsy, przebrali się w sukmany, pozrzucali krawatki i już dobrej myśli, jęli prosić gospodarza, aby posłał po piwo.

— Pójdę sam... może coniebądź zasłyszę w karczmie.

Nie minęło kilkanaście minut, gdy wrócił się gospodarz i zamknąwszy drzwi za sobą opowiadał:

— Dali znać strażnikowi, że leży zabity na drodze, wziął sołtysa i pojechali po nieboszczyka. Chodźmy bo nas zaskoczą.

Pomiędzy opłotki, drożynami, przez obejścia i podwórza dostali się prawie na sam koniec wsi.

— Tu mieszka brat mojej żony Tomasz — wskazał na porządną chatę — ten wam pomoże rzetelnie.

Tomasz, niski barczysty chłop, około lat czterdziestu z lekkiem zdumieniem przyjrzał się gościom i swemu szwagrowi.

— Ci dwaj Tomaszu chcieliby się dostać na stacyę kolei, zaszli do mnie a że konie wysłałem, przyprowadziłem ich do ciebie.

— A nie miałeś bliższych sąsiadów? — uśmiechnął się — dopiero do mnie idziesz?

— Jest racya — dał znak porozumiewawczy.

Tomasz zaprosił ich tedy do chaty, a gdy drzwi zamknął dodał cicho:

— Wiedz tedy, że utłukli kozaka... strażnik ze sołtysem już pojechali po niego.

— Aha, to tak—patrzył bacznie po gościach — ale cóż ja pocznę z wami?

— Wy poradzicie sobie bezemnie — rzekł gospodarz wstając — a w chacie trzeba porządek zrobić, bo to i owo zostało po was.. Dajże wam Panie Boże szczęśliwie—podając rękę do uścisku.

— Daj Panie Boże, a wam gospodarzu niech Pan Bóg nagrodzi za waszą uczynność?

Tomasz jął szczegółowo rozpytywać kiedy, gdzie i jak zabili kozaka, wreszcie, zwrócił się do Marcelka:

— Pytaliście o drogę i dokąd?

— Do Sokołowa i Łap i chyba tam pojedziemy bo to większa stacya, ludzi dużo....

— Ani myślcie o tem — mówił, a po zachmurzonem czole było widać, że waży coś w sobie — strażnicy mogą rozpytać się ludzi....

Fajka mu zgasła, poszedł do drugiej izby, aby żarzący węgiel nałożyć i wrócił po chwili.

— Niema co, trzeba wam się przebrać do Wnor, mój chłopak was odwiezie.

Zaledwie skończył te słowa, zerwał się ze stołka i szepnął przybladły:

— Strażnik idzie... skryjcie się w komorze — a sam szybko opuścił izbę.

Młot i Marceli skoczyli ku komorze, była jednak zamknięta, więc wcisnęli się w kąt izby za rozwieszoną na grzędzie odzież.

Po chwili wszedł strażnik z Tomaszem, który wniósł flaszkę wódki z kieliszkiem i przypił do strażnika, prosząc, aby nie pogardził trunkiem. Ten rozparł się wygodnie na krześle, bokiem ku ukrytym towarzyszom a pijąc wódkę i zagryzając chlebem, mówił:

— Znajesz, z czem ja pryszoł... ot u was, zdieś, jest buntowszczyki, ubili kozaka, ponimajesz?

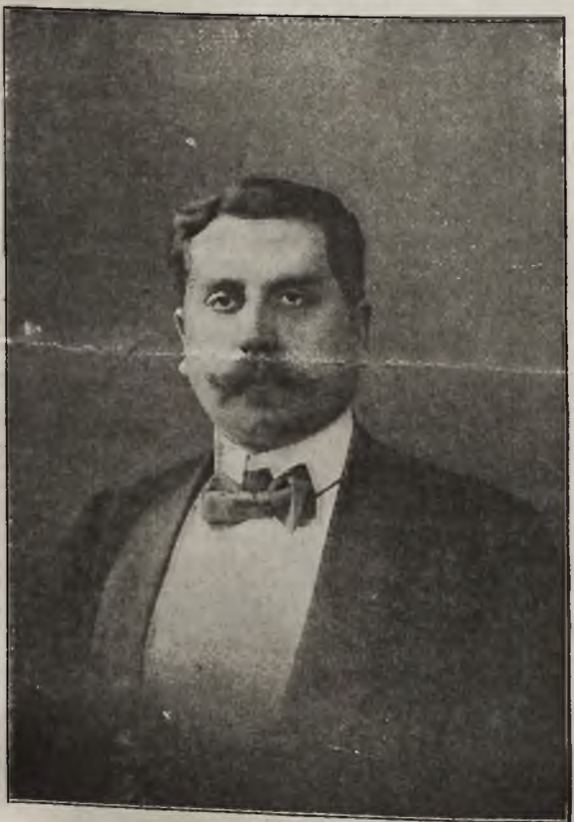
— Coś nie coś rozumiem.

— A ty wsio po polskie, ach proklatyj narod... — — wypił kieliszek, splunął — ot pryszoł k'nam prykaz łowit' etych sukin synów, rozbojników, socyalistów... nu, jak prykaz, tak prykaz, szczoż diełat'? — i znów popił.

Ciąg dalszy nastąpi.

Jeszcze jedno zwycięstwo.

Cesarz Wilhelm, rozwiązując krnąbrny parlament Rzeszy, nie spodziewał się zapewne, że tak świetne zwycięstwo jego rząd odniesie nad socyalista-



Jeszcze jedno zwycięstwo: Ostatni z posłów polskich wybranych do parlamentu niemieckiego, dr. adwokat Seyda.

mi. Ale że niema nigdy na świecie radości bez przymieszki goryczy, to też i radość cesarzamówcy zamąconą została tryumfem, jaki nadspodziewanie święcą Polacy z okazyi ostatnich wyborów. Nietylko, że liczba ich mandatów wzrosła z 16 na 20, ale, co jeszcze ważniejsza, zbudził się z wiekowego uśpienia duch polski w prastarej Piastów dzielnicy — na Śląsku — która teraz wysłała już czterech posłów Polaków do berlińskiego parlamentu. Da Bóg, że przy najbliższych wyborach będzie ich drugie tyle!

Innym pocieszającym objawem przy ostatnich wyborach jest ogromny wzrost głosów polskich. Oprócz tego zaś okoliczność, że Polacy rozporządzają tak silną większością w niektórych okręgach, iż mogą ewentualnie po zrzeczeniu się posła wybranego w dwóch okręgach, zawsze na jeden z nich liczyć — świadczy wymownie o sile polskich wyborców.

Tak się stało i teraz. Leon Czarliński z Tornia został raz wybrany w okręgu szubińsko-żnińsko-wyrzyskim, drugi zaś raz w okręgu wrzesińsko pleszewsko jarocińskim. Zatrzymał on mandat w pierwszym z tym okręgów, w drugim zaś—wybrano przy wyborze uzupełniającym dnia 13 z. m. posła Seydę z Poznania.

Nowy poseł, przystojny mężczyzna w sile wieku, jest dzielnym, powszechnie cenionym adwokatem, gorącym patryotą i cieszy się ogólnem poważaniem współobywateli. Jestto niezawodnie bardzo cenny nabytek dla reprezentacyi polskiej w Berlinie, która składa się z niewielu wprawdzie, ale bardzo tęgich posłów, przed którymi stoją trudniejsze, niż gdzieindziej zadania. Hakata bowiem nie omieszka znów rzucić się z całą zaciekłością na Polaków, jak tylko przyjdzie pod obrady sprawa komisyi kolonizacyjnej.

Wybraniec fortuny.

Ktoś określił złośliwie, lecz słusznie loteryę, że jest to interes, w którym tysiące głupców składa się na jednego szczęśliwego. I rzeczywiście, nic nie może więcej podniecać namiętności łatwego zysku u ludzi, jak nadzieja zbogacenia się szybko, a tanim kosztem, bez pracy, bez trudu, jednem słowem bez tego wszystkiego, czem zdobywa się na świecie w sposób normalny dobrobyt, względnie bogactwo.

Jeżeli już loterya liczbowa, ten rak, toczący od tylu lat najuboższą ludność Austryi, porywa za sobą całe mnóstwo nieopatrznych, budząc w nich marne, lecz ciągłe nadzieje — to cóż dopiero pomyśleć o takich loteryach, jakie weszły w modę ostatnimi czasy à propos wielkich wystaw światowych. Gdy na loteryi liczbowej w najlepszym razie wygrana może wynosić kilka, a co najwięcej kilkanaście tysięcy koron, główne wygrane na tych drugich loteryach oznaczone bywają na milion, los zaś kosztuje franka, lub dwa liry.

Tak było na ostatniej wszechświatowej wystawie w Paryżu, tak samo i w Medyolanie na zeszłorocznej wystawie. Podobne loterye urządzane bywają w tym celu, aby pokryć z ich dochodu ewentualny deficyt wystaw.

Tym razem bogini „Fortuna“, którą przedstawiają z zawiązanemi oczyma, uczyniła, o ile się zdaje, dobry wybór. Los Nr. 062—02485, będący własnością Gustawa Leemana, Szwajcara, trafił główną wygraną i przyniósł swemu szczęśliwemu posiadaczowi okrągłą sumkę miliona lirów (wło-



Wybraniec fortuny: Podmajstrzy Gustaw Leeman, który wygrał milion lirów na loteryi medyolańskiej.

ski lir równa się 92 halerzom). Leeman jest podmajstrzym w elektrowni w Montbovon, w kantonie Fryburskim. Dzielny ma być z niego robotnik, liczy lat 37 i jest kawalerem; niezawodnie tedy nadobne Szwajcarki będą teraz innem okiem patrzeć na skromnego podmajstrzego, który naraz stał się świetną partyą.

Jak donoszą dzienniki włoskie, Leeman zapomniał nawet o tem, że posiada dwa bilety loteryi medyolańskiej. Dopiero jeden z towarzyszy przypomniał mu o tem i doradził, aby przejrzał listę ciągnień. Posłuchał rady i ku wielkiemu zdziwieniu przekonał się, że wygrał milion. Było to we czwartek 7 z. m. Nie zaprzestał jednak pra-



Fot. W. Lis aparatem red.

Koncertanci gimnazyalni: Uczestnicy koncertu w gimnazyum w Bochni (1. dyrektor Kurowski, 2. prof. Molenda).

cy i dopiero w niedzielę w towarzystwie dwóch przyjaciół pojechał do Medyolanu, aby podjąć wygraną.

Już na samym początku uczynił Leeman dobry użytek ze swych pieniędzy, ofiarował bowiem 20.000 lirów na ubogich Medyolanu, a każdego z chłopców-sierot, którzy dokonywali ciągnienia loteryi, obdarzył kwotą 500 lirów.

Atakowany przez chmarę medyolańskich reporterów, oświadczył Leeman, że kolosalna wygrana bynajmniej mu nie zawróciła głowy. Nie myśli wcale porzucać swego zawodu i będzie, jak dotąd, pracował. Wygraną przesłał w całości za pomocą przekazu bankowego do swej ojczyzny.

Leeman jest rzeczywiście wybrańcem fortuny, lecz ileż to zawiedzionych nadziei mniej szczęśliwych posiadaczów losów medyolańskich towarzyszyło jego rzadkiemu szczęściu!



Fot. Gancwol, Siedlce.
Zwycięstwo na Podlasiu: Wybrani w Siedlcach polscy posłowie podlascy do Dumy: 1. Włościanin Józef Błyskosz, 2. adwokat Stanisław Sunderland, 3. obywatel ziemski Ludwik Bryndza-Nacki.

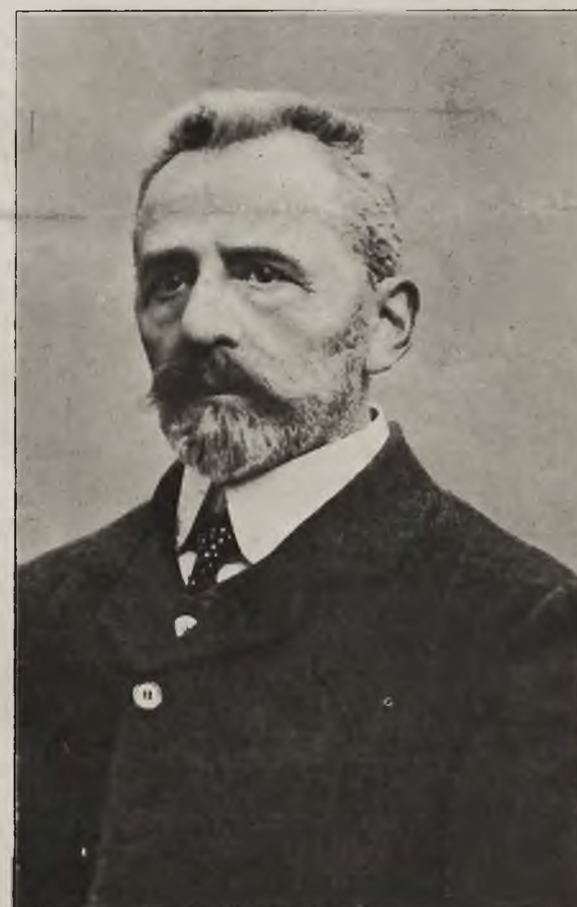
Koncertanci gimnazyalni.

Niezawodnie najlepszym środkiem dla kulturalnych wpływów są sztuki piękne i zaprzeczyć się nie da, że piękno (nie w spekulatywnem znaczeniu pojęte) w jakiejkolwiek by ono formie było podane niezmiernie wpływa i na kulturalność i smak estetyczny umysłów młodych. Zrozumiały to od niedawna władze szkolne, to też duch inny zawiał w średnich zakładach naukowych, owianych dotąd u nas pedancką, scholastyczną uczonością. I coraz częściej słychać w kraju o występach koncertowych uczniów gimnazyalnych, coraz częściej odzywają się głosy, że reforma szkolna powinna iść także w tym kierunku, by młodzież obok łaciny i greki posiadała znajomość z zakresu muzyki i śpiewu.

Na tę drogę wstąpiło gimnazyum w Bochni. Mianowicie dzięki uprzejmości p. dyrektora J. Kurowskiego, który mimo krótkiego pobytu w Bochni, pozyskał sobie najgłębszą sympatyę tak ze strony grona nauczycielskiego, jak i uczniów, czego dowody zbiera na każdym kroku, urządziła młodzież gimnazyalna w auli koncert muzyczno-wokalny pod artystycznem kierownictwem p. prof. Romana Moledy. Na program złożyły się utwory klasyczne, jak Chopina (Ballada G-moll, Polonez A-dur), Moniuszki (Polonez z „Halki“, „Wróżba znachora“ śpiew), Studzińskiego („Nokturn“) jakoteż kompozytorów obcych jak: Geneégo, Company, Mascagni'ego i Drdla („Serenada“ solo skrzypce uczeń Żabski). Obok orkiestry smyczkowej i doskonale wyszkolonego chóru pod batutą prof. R. Molendy, nie brakło fortepianu, orkiestry mandolinowej i cytry.

Koncert przyniósł przeszło 312 kor. dochodu, przeznaczonego na biednych uczniów.

Załączona fotografia przedstawia grupę koncertantów gimnazyum bocheńskiego, wśród których widzimy też dyrektora Kurowskiego wraz z profesorem R. Molendą.



Fot. Gancwol, Siedlce.
Zwycięstwo na Podlasiu: Pierwszy poseł z polskiej partyi postępowej, Stanisław Sunderland w Siedlcach.

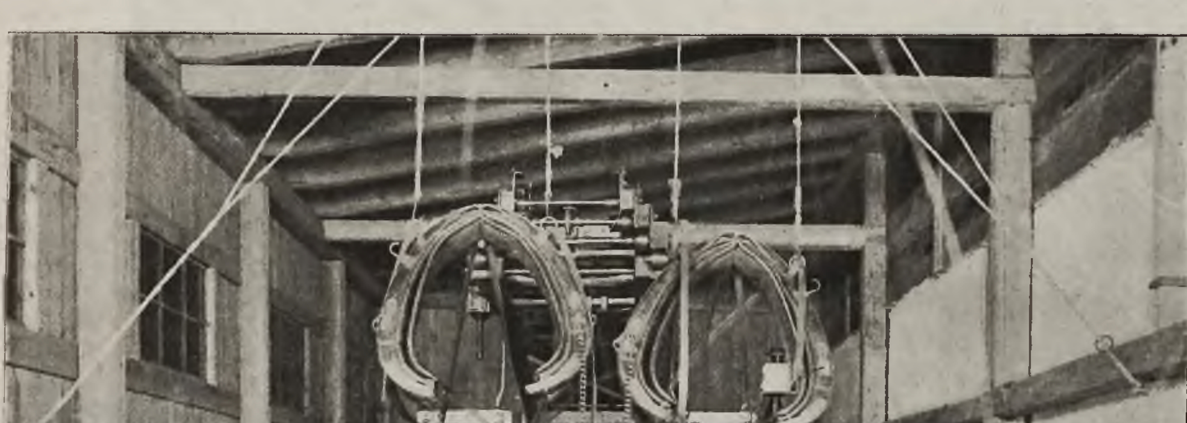
Zwycięstwo na Podlasiu.

Wiadomo, jak wiele zależy Królestwu Polskiemu na Podlasiu. Oczy patryotycznych kół społeczeństwa naszego tak często spoglądały w te strony ze współczuciem serdecznem, to znów patrzą z trwogą na wrogie zakusy. Więc tem większe było zainteresowanie się wyborami w Siedlcach do Dumy państwowej.

Nadto stosunki partyjne w kraju tak się w ostatnich tygodniach ułożyły, iż tegoroczne wybory poselskie w Siedlcach miały być próbą siły organizacyjnej stronnictwa demokratyczno-narodowego z jednej, a powagi koncentracyi stronnictw narodowych z drugiej strony. Tutaj bowiem na mocy umowy wzajemnej, miały przeprowadzić wybór kandydata, wybranego na wyborcę z kuryi miejskiej w Siedlcach przez inne grupy. Od tego wyboru zależał mandat poselski w innem mieście. Koncentracya dołożyła więc starań, aby wybór przeprowadzić i odniosła zwycięstwo, mimo trudności, jakie powstały w ostatniej chwili.

Posłami polskimi do Dumy petersburskiej zostali wybrani dwaj endecy: Ludwik Bryndza-Nacki i włościanin Józef Błyskosz, oraz członek polskiej partyi postępowej Stanisław Sunderland. Zamieszczamy dziś fotografię wszystkich trzech posłów, załączając krótkie sylwetki tych interesujących osobistości.

Sympatyczny włościanin Józef Błyskosz wybrany został posłem powtórnie. W pierwszej Dumie głosu nie zabierał, miał bowiem wygłosić mowę dopiero w czasie obrad nad sprawą wolności sumienia. Gromadził materyały, przygotowywał się do mowy o doli unitów, gdy Dumę rozwiązano. Po powrocie z posłami do Warszawy, zawiadomił ks. Gralewskiego, że z djet zaoszczędził kilkaset rubli, które przeznacza na założenie szkoły polskiej w rodzinnych Dołhobrodach w pow. bialskim. Posłowie przyjęli od niego na ten cel 250 rubli, dodali od siebie 1750 rb. i w ten sposób w wiosce tej powstała szkoła ludowa imienia Józefa Błyskosza. A dodać należy, że poseł nie jest gospodarzem zamożnym, gdyż posiada zaledwie 10 morgów średniej ziemi. Błyskosz liczy dziś lat 31, a jest synem włościanina-bohatera w obronie religii w okolicach Biały podlaskiej w czasach prześladowania unitów.



Fot. W. Lis, Kraków.
Ulepszenia na strażnicy pożarnej w Krakowie: Nowe, na wzór zagranicznych, urządzenia dla skrócenia czasu wyjazdu straży do pożaru.

Nowy poseł podlaski, Ludwik Bryndza-Nacki, człowiek jeszcze młody, 34 letni, jest już znany od dawna, jako działacz na polu szerzenia oświaty wśród ludu, za co przez 7 lat był pod dozorem żandarmsko-policyjnym. Przyszedł na świat w majątku rodzinnym Woroblinie, wydział prawny ukończył na uniwersytecie warszawskim, poczem studyował w Czechach na kursach rolnictwa i bogaty w zasób wiadomości teoretycznych, rozpoczął u siebie gospodarkę na roli. Zaskarbił sobie rychło zaufanie włościan. Trzy razy wybierany był na sędziego gminnego i po trzykroć władze odmówiły zatwierdzenia wyboru. Na Podlasiu jest on jednym z najgorliwszych członków stronnictwa narodowo-demokratycznego. Od kilku lat pełni gorliwie obowiązki radcy dyrekcyi szczegółowej Tow. Kredytowego ziemskiego w Siedlcach.

Pierwszy poseł do Dumy ze stronnictwa polskiej partyi postępowej, Stanisław Sunderland (którego portret załączamy też osobno oprócz wspólnej grupy posłów podlaskich) jest Warszawianinem, a urodził się w 1847. Szkołę realną kończył w Siedlcach, a w Warszawie w 1869 opuścił Szkołę Główną, jako magister prawa i administracyi. Zrazu aplikował w sądach, poczem w 1872 został patronem przy trybunale cywilnym w Siedlcach i od tej pory nie opuszczał już tego miasta. W 1876 otworzył tam kancelaryę adwokacką i odtąd pracuje jako obrońca, wolne chwile od pracy zawodowej poświęcając nauce. Wygłosił kilka odczytów w Warszawie w różnych czasach, tłómaczył dzieła prawnicze, pisał rozprawy o wykazie hipotecznym, referował na zjeździe ekonomistów w Poznaniu itp. Czynny udział brał w życiu społecznem w Siedlcach. Był tam inicyatorem Tow. Kredytowego miejskiego, którego też jest prezesem, należał do założycieli Tow. wzaj. kredytu w Siedlcach. Zorganizował tam szkołę 8-klasową. W roku ubiegłym stanął na czele komitetu pomocy dla ofiar pogromu żydów w Siedlcach.

Pod względem przekonań politycznych jest poseł Sunderland narodowo-postępowym. Zapewnił swych wyborców, że wstąpi do Koła Polskiego w Dumie.

Ulepszenia na strażnicy pożarnej.

Ostatni pożar kawiarni Drobnera w Krakowie, tak groźny dla śródmieścia, wykazał najlepiej, jakie znaczenie ma dla miasta należycie zorganizowana straż pożarna. A właśnie świeżo w krakowskiej strażnicy pożarnej zastosował naczelnik Nowotny najnowsze urządzenia specyalne w tym kierunku, jakie zbadał w większych miastach zagranicą w czasie swej niedawnej podróży. Najważniejszem ulepszeniem z nowozaprowadzonych jest sposób szybkiego alarmowania straży w razie wybuchu pożaru. W tym celu przerobiono biuro sygnalizacyjne w strażnicy, skombinowane z telefonu i telegrafu. Opis tego nowego urządzenia podaliśmy przed paru tygodniami wraz z dokładną fotografią. Dziś znowu zamieszczamy rycinę, illustrującą dalsze ulepszenia na strażnicy, dzięki którym skrócono znacznie czas wyjazdu straży do pożaru. Szybkie zaprzęganie koni umożliwiono w ten sposób, że uprząż dla koni umieszczono już na wozach pożarnych. Toteż obecnie zaprzęganie koni trwa nie więcej jak 20 sekund, a gdy do tego doliczy się jeszcze 20 sek. na wyprowadzenie koni i umieszczenie ludzi na wozach, to dziś straż krakowska wyjeżdża od chwili zawiadomienia w 40, a najpóźniej w 50 sekund, w nocy zaś najdłużej w 60 sekund. Nigdy dłużej przygotowania do wyjazdu na miejsce ognia trwać nie powinny nad jedną minutę. Dla pośpiechu pod tym względem zaprowadzono też na strażnicy oświetlenie elektryczne.

Wogóle p. Nowotny stara się urządzić w miarę możności krakowską strażnicę pożarną tak, żeby odpowiadała pod każdym względem istotnym potrzebom. Powiększono też ilość przyrządów pożarnych (dotąd prócz ośmiu sikawek było 5 wozów ogniowych) przez sprawienie jednego wozu najnowszej konstrukcyi na wzór zagranicznych. Jest on znacznie dłuższy od dotychczasowych i posiada siedzenia dla wszystkich strażaków, z których żaden już nie musi stać w drodze. Ponad głowami siedzących mieści się pomost z drabinami dachowemi wysuwanemi, pod nim zaś w blaszanem okryciu płachta 25-metrowa do ratowania mieszkańców z płomieni na wyższych piętrach. Z tyłu wozu jest przymocowany ruchomy wózek dwukołowy, ręczny, na którym znajduje się zwinięty na walcu wąż długości 150 metrów, z potrzebnemi prądnicami mosiężnemi. W dolnej części wozu mieści się nadto skrzynia na magazyn wszelkich potrzebnych przyrządów strażackich. Nie dość na tem. Przerobiono też i inne wozy, zastosowując je do nowszych wymagań techniki pożarniczej.

Najwiekszem jednak ulepszeniem na strażnicy ogniowej w Krakowie będzie dopiero wprowadzenie automobilów elektrycznych, co podobno już w krótkim czasie nastąpi. Szłoby tedy jeszcze jedynie o powiększenie miejskiej straży co do ludzi, gdyż obecnie liczy ona tylko 40 strażaków, 2 telegrafistów, 4 sierżantów, 4 ogniomistrzów i naczelnika.



Wybory w Warszawie: Wóz reklamowy koncentracyi narodowej, krążący po ulicach podczas agitacyi przedwyborczej.

Wybory w Warszawie.

Agitacya przedwyborcza oraz sam akt wyboru posłów do ciał ustawodawczych, to rzeczy zwyczajne w krajach rządzonych od dłuższego czasu w sposób parlametarny.

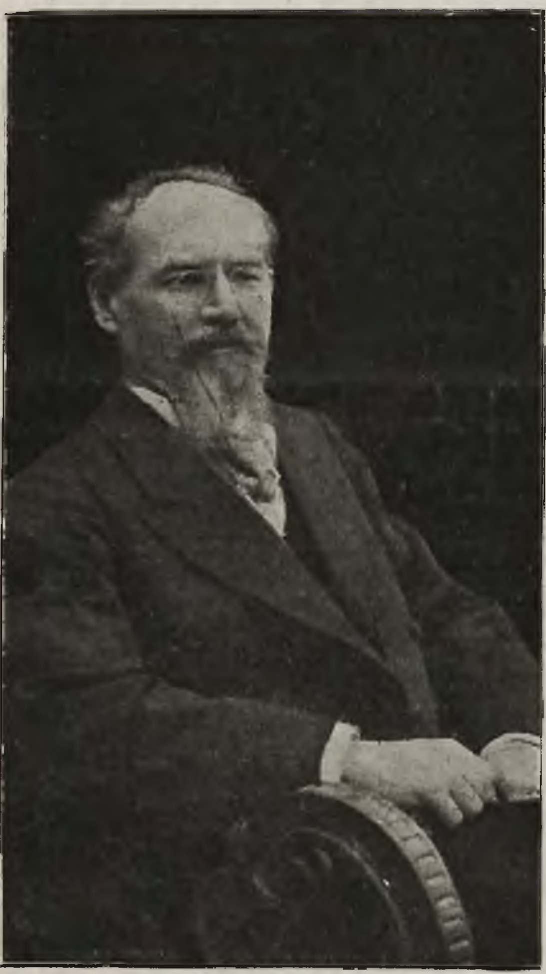
Jakkolwiek tedy wybory wywołują tam, zwłaszcza po miastach, niezwykłe ożywienie i podniecenie chwilowe, to jednak publiczność oswojona z takiemi wypadkami, peryodycznie się powtarzającemi, spogląda niemal obojętnie na reklamę agitacyjną i wielkie zamieszanie, jakie ten ruch wyborczy sprawia w życiu codziennem. Inaczej w Królestwie Polskiem, gdzie wszystko to jest jeszcze tak nieznane szerokim kołom publiczności, tak jeszcze nowe i zajmujące na gruncie miejscowym. To też kiedy w Warszawie zabierano się do akcyi przedwyborczej, po rozpisaniu wyborów do Dumy państwowej, towarzyszyło temu od pierwszej chwili zajęcie powszechne. Ale znów inne były powody, dla których zrazu setki mieszkańców do wyborów uprawnionych, nie kwapiły się wcale po odbiór legitymacyj i dzienniki musiały przez długi czas codzień nawoływać głośno, by przekonać ogół o konieczności korzystania z praw obywatelskich w tej mierze. Ostatecznie wytężona agi-



Wybory w Warszawie: Prawyborcy przed biurem wyborczem VIII okręgu miejskiego (w gmachu Filharmonii).

tacya sprawiła, że udział w akcie wyborczym wzięła bardzo znaczna część uprawnionych.

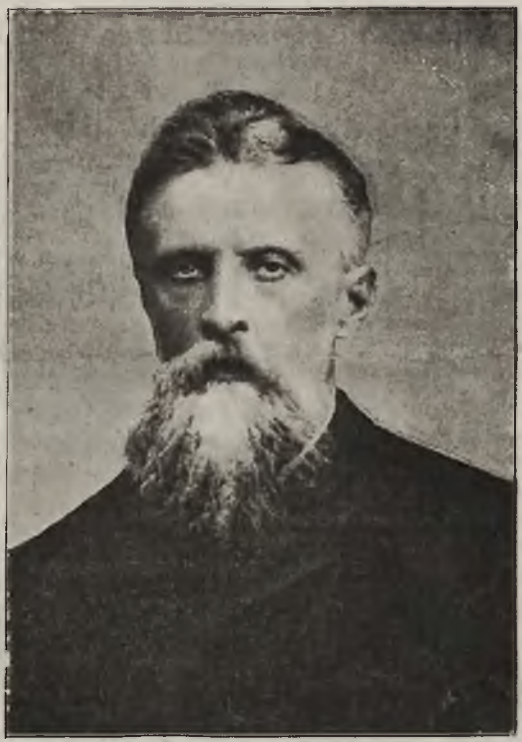
Przez kilka tygodni z rzędu cała Warszawa wiecowała. Miasto podzielone było na okręgi wyborcze, więc w każdym okręgu z osobna odbywały się ożywione zgromadzenia przedwyborcze. Nadto wiece jeden po drugim zwoływały poszczególne partye polityczno-społeczne. Na okres wyborczy zawarły stronnictwa w Królestwie układy dla przeprowadzenia swoich kandydatów. Najsilniejsze, jako najbardziej liczne, stronnictwo narodowo demokratyczne weszło w porozumienie z pomniejszemi stronnictwami narodowemi wogóle i zachowawczemi, aż wreszcie powstała silna „koncentracya narodowa“, w której jednak endecy tak rej wodzili od początku do końca, że właśnie z narodowej demokracyi wyszły kandydatury poselskie, które popierała cała kocentracya narodowa. Dla Warszawy tedy, obok posła do Dumy zeszłorocznej, adwokata Franciszka Nowodworskiego, postawiono kandydaturę człowieka zgoła nowego, do niedawna wcale szerszemu ogółowi nieznanego nawet z nazwiska. Jednakże był to człowiek już wielce zasłużony, jako działacz narodowy, a nieznany jedynie dlatego, że przez szereg lat pracował jako konspirator, zanim wystąpił na widownię jawnej działalności z chwilą zmiany stosunków w Królestwie. Mówimy o Romanie Dmowskim, obecnym przywódcy endeków, a właściwym twórcy stronnictwa narodowo-demokratycznego, dawniej wszechpolskiego.



Wybory w Warszawie: Niedoszły poseł stolicy, kandydat Zjednoczenia postępowego, Ludwik Krzywicki.

Kandydatury te ściągnęły gromy gniewu z przeciwnego obozu, któremu na imię „Zjednoczenie postępowe“, a w skład którego weszły wszystkie stronnictwa postepowe i skrajne, a nadewszystko żydowskie żywioły wyborcze. Z tej strony wysunięto kandydatury bardzo poważne, które jednak zaciekle zwalczali koncentraci, mianowicie znakomitego pisarza Aleksandra Świętochowskiego, oraz wybitnego socyologa Ludwika Krzywickiego, (których tutaj portrety załączamy). Miano ich obu wybrać w okręgu VIII (na jednej z naszych fotografij widać właśnie prawyborców, cisnących się do biura wyborczego w tym okręgu) tymczasem ani jeden z nich nie wszedł przy prawyborach nawet na listę wyborców, wobec czego kandydatury postępowe upadły od razu, ułatwiając koncentracyi narodowej zwycięstwo. Kiedy przy prawyborach większość głosów zdobyła lista endecka, można było uważać wybór ostateczny na posłów stolicy Romana Dmowskiego i Franciszka Nowodworskiego za zapewniony, toteż odbyty dopiero w tydzień później sam akt wyborczy w Ratuszu, głosowania elektorów przez prawyborców wybranych — był jedynie urzędowym ceremoniałem i nie mógł przynieść niespodzianek.

Wyborami kierował mecenas Stanisław van der Noot Kijeński (którego widać na naszej fotografii



Wybory w Warszawie: Niedoszły poseł stolicy, kandydat Zjednoczenia Postępowego, Aleksander Świętochowski.

z biura I okręgu wyborczego, gdzie odbiera legitymacye od prawyborców). Wybory przeszły spokojnie i odbyły się z powagą, chociaż tu i ówdzie zanotowała kronika wybryki, pochodzące z zaciekłości partyjnej, która cechowała szaloną agitacyę dwu przeciwnych obozów



Wybory w Warszawie: Składanie głosów w I. okręgu wyborczym miejskim (w gmachu uniwersytetu); przy kratce odbiera karty legitymacyjne prezes komisyi obywatelskiej, mecenas Stanisław van der Noot Kijeński (X).

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

9 (Ciąg dalszy).

Z obawy, aby jej kto ze znajomych nie zobaczył, nie mogła ani słuchać spokojnie, ani patrzeć na scenę. Pościg nieznajomego, który aż do mieszkania ją śledził, jeszcze bardziej podniecił zaniepokojenie. Nie miała chęci do snu; siedziała przy kominku i myślała o przyszłości, to znowu rozpamiętywała ponurą przeszłość. Dokładała do ognia drewienko po drewienku, aż dotarła do dna koszyka i tu zobaczyła niedodartą gazetę. Machinalnie wzięła ją w rękę i wyczytała: „Ucieczka w dniu ślubu. Zamordowanie pana młodego przez żonę“.

Struchlała! Spogląda w zadrukowany papier, czyta, oczom nie wierzy; może to sen, złudzenie, przywidzenie. Ona posądzona o zamordowanie Arteveldta! Arteveldt zamordowany! Od owej weselnej biesiady nie czytała dzienników, nie stykała się z ludźmi, nie wiedziała nic zgoła, co się tam stało potem, gdy odeszła.

Teraz czyta szerokie opisy mordu i dowiaduje się, że ją o mord posądzają, że ją ścigają, że wyznaczono nagrodę za ujęcie zbrodniarki.

Uciekała, kryła się, ale przed mężem, przed znajomymi, kryła się też dlatego, aby dochować przysięgi umierającej matce, która jeszcze ostatnie tchnienia wydając, lękała się o dziecko swoje. Lękała się, aby jej nie odkrył chciwy milionowego spadku Bradmardine i życia nie pozbawił, więc zażądała przysięgi, że Leonora nie odsłoni przed nikim tajemnic rodzinnych i zachowa przybrane nazwisko.

Unikała ludzi, policyi, bo jej się zdawało, że śledzą, szukają jej z ramienia prześladowcy, o którym od matki słyszała.

Teraz posądzona o tak straszną zbrodnię! Nie! to sen, złudzenie! I znowu podnosi gazetę i znowu czyta i krew się jej ścina, przed oczyma ciemno, traci siły, pada zemdlona. Kilka godzin przeżyła jakby w letargu. Zbudziła się, zaczęła skupiać energię, myśleć nad tem, co teraz począć? Iść śmiało do policyi, wykazać swoją niewinność — to byłoby najlepiej. Ale przysięga złożona umierającej matce! A czy jej uwierzą? Jakże udowodni, że jest niewinną? Nie, lepiej uciekać, ukryć się daleko!

Powziąwszy takie postanowienie, chciała zwierzyć się ze wszystkiem pannie Harris i wyczekiwała niecierpliwie końca nocy, bezsennie spędzonej. Nadeszła godzina poranna. w której panna Harris zwykle na lekcyę przybywała. Dziś nie przyszła. Leonora niecierpliwi się, wyczekuje.

Śpiewaczka spóźniła się, bo miała niezwykłego gościa.

Był to mężczyzna okazały, elegancki, z wejrzeniem przenikliwem, ale bardzo inteligentnem. Przedstawił się, jako Sennor Castro z Kuby.

Mówił, że objął dyrekcyę teatru w Hawannie, że go chce wspaniale zorganizować, że w tym celu przybywa tu, aby wyszukać najlepsze siły sceniczne.

— Oczywiście — mówił Sennor Castro — że nietylko zdolności artystycznych, ale i odpowiedniej powierzchowności domagać się muszę od kandydatek do sceny. Osoba piękna, okazale zbudowana, mająca wiele wdzięku i dystynkcyi, mogłaby liczyć na warunki bardzo korzystne. Stosunki pani, sława jej szkoły, pozwalają mi się domyślać, że mógłbym znaleść wielką pomoc u pani w angażowaniu personalu scenicznego. Oczywiście, że gotów jestem złożyć sowitą prowizyę.

Panna Harris zadowolona była z tej propozycyi, obliczając korzyści. Sennor Castro zapłaci, uczennica niezawodnie też będzie wdzięczną; ale stracić za to uczennicę! Ta myśl zniewoliła ją do namysłu.

— Pomyślę nad tem, rozważę, rozpatrzę się w uczennicach, pomówię z niemi, a wieczorem dam panu odpowiedź.

Po odejściu Kubańczyka pospieszyła do Leonory i powiedziała o wszystkiem. Była pewną, że Leonora chyba tylko z wielką trudnością dałaby się nakłonić do przyjęcia engagement, więc zdziwiła się niezmiernie, gdy odrazu skłoniła się do tego i to z widocznem zadowoleniem.

Oczywiście, że Leonorze spadła ta propozycya jak z nieba, skoro postanowiła czemprędzej opuścić Chicago, ale pannie Harris żal było jakoś dla jednorazowej prowizyi postradać uczennicę, za którą później sowitego wynagrodzenia spodziewać się mogła od każdego dyrektora teatru. To też wieczorem, gdy przyszedł Sennor Castro, zbywać go zaczęła, wymawiała się tem i owem. Wtedy Kubańczyk powiedział, że zaangażuje nietylko uczennicę ale i nauczycielkę.

— Byłoby to dla mnie prawdziwem szczęściem, gdyby pani przyjęła w moim teatrze kierunek naczelny w szkole śpiewu, opiekę nad całą wokalną częścią teatru. Honoraryum gotów jestem ofiarować stanowczo większe, niż te dochody, jakie pani ma ze swej szkoły.

To przekonało pannę Harris.

Ugodę zawarto, podpisano. Sennor Castro podał ten warunek, aby obie panie zaraz nazajutrz przeniosły się do jego siostry, gdzie zbiorą się wszystkie zaangażowane osoby i razem wyjadą.

XVII.

Trucizna.

Neil Stuart zaprosił Duranda do swego mieszkania na rozmowę w sprawie bardzo poważnej. Nie zdziwił się Durand zaproszeniem, bo go na to Stuart przygotował, widząc się z nim ostatnim razem.

— Zawód mój nastręcza mi tysiączne sposobności spostrzegania tego, czego nie widzą inni, niech więc pana nie dziwi, że odkrywam coś takiego, co się panu wprost niemożliwem wyda — mówił Stuart.

Durand z niepokojem wysłuchał tego wstępu i nie mógł nawet niepokoju utaić.

— Niechże pan słucha spokojnie, po męsku. Jeszcze niema nieszczęścia i uniknie go pan z pewnością, posłuchawszy mej rady.

— Ależ, mnie to już przeraża! — rzekł drżącym głosem Durand.

— Powtarzam panu, że niema jeszcze żadnego nieszczęścia i właśnie po to pana zaprosiłem do siebie, abyśmy się swobodnie naradzić mogli, jak go nadal uniknąć. Czy pan mi ufa?

— Najzupełniej.

— A wiec proszę z całą ufnością wysłuchać mnie i z całą szczerością udzielić mi odpowiedzi. Odkąd to panna Brown wyprowadziła się z domu państwa?

— Panna Brown? Czyżby ona coś złego?

— Ależ spokojnie. Kiedyż panna Brown opuściła swą towarzyszkę?

— Jakoś przed trzema miesiącami, na kilka dni przed wyjazdem Laury do New Jorku.

— Jak długo panna Laura w New Jorku przebywała?

— Prawie przez dwa miesiące.

— A odkąd to pańska żona choruje.

— Jakoś na tydzień przed powrotem Laury zaziębiła się bardzo i od owego czasu wciąż zapada zdrowiu.

— Radzę panu wywieźć stąd żonę natychmiast.

— A to dlaczego?

— Bo wśród tego otoczenia, w którem się znajduje i dwóch miesięcy nie dożyje.

— Co pan mówi? co to wszystko znaczy? — zawołał Durand ze zdziwieniem i wpatrzył się bystro w Stuarta.

— To znaczy, że żona pańska zażywa truciznę i na powolne zatrucie umrze.

— Panie! to wprost niemożliwe, pan się myli, to przywidzenie!

— Nie, panie Durand, nie mylę się. Weź pan ten flakonik i daj zbadać chemikowi płyn w nim zawarty, a potem wezwij pan rady lekarskiej.

— Skąd pan wziąłeś ten flakonik.

— Ze stolika, z pokoju pańskiej żony, właśnie wtedy, gdy ją na życzenie pana odwiedziłem.

— To jakaś straszna zagadka.

— Nie dla mnie.

— Więc to trucizna?

— Tak panie, trucizna ostra, wprost zabójcza...

— Jakże pan wie o tem?

— A toć przecież wziąwszy flakon, dałem płyn zbadać, zbadać chemicznie. Czyż możesz pan przypuścić, abym na własny domysł pana przerażał?

— A skąd to panu wpadło na myśl, podejrzywać truciznę w pokoju mojej żony?

— Ależ to rzecz bardzo prosta. Miałem już kilka wypadków takiego powolnego zatrucia osoby, której pozbyć się chciano, bez rozgłosu, bez ściągnięcia na siebie podejrzenia. Owe osoby chorowały tak zupełnie, jak pańska żona; cierpiały wśród takich samych objawów patologicznych.

— Któż się tu dopuszcza tej zbrodni.

— O tem dowie się pan cokolwiek później; tymczasem proszę tylko mnie zostawić tego zbrodniarza.

— Boże! Boże! Jakie to straszne! — zawołał Durand, załamując ręce.

— Uspokój się pan. Potrzeba działać rozważnie i ostrożnie, a do tego spokój i zimna krew przedewszystkiem potrzebne. Tylko proszę mi ufać i czynić wszystko, co panu doradzę.

— Dysponuj pan moją osobą. Ufam panu, wdzięczny za to, żeś mnie uchronił od utraty żony.

Rozmawiali dość długo. Durand uspokoił się wreszcie, zgodził na plan dalszego postępowania, podany przez Stuarta i odszedł spokojny, ale zgnębiony, jak człowiek, który gorzkiego doznał zawodu.

* * *

W godzinę potem Stuart idąc jedną z najbardziej ożywionych ulic, spostrzegł, że jakaś kobieta zdąża szybko, jakby się przed kimś schronić chciała. Poznał ją zaraz. Była to taż sama, na którą napadł ktoś, zranił, a Stuart przybył na pomoc i tam portfel z listami znalazł. Istotnie gonił za nią elegancki mężczyzna. Stuart poznał, że to Bradmardine.

Kobieta zmęczona zwalnia kroku; wtedy Bradmardine chwyta ją za ramię i z wściekłością syczy:

— Ha! wściekła babo! Mam cię wreszcie. Oddaj mi skradzione papiery!

— Nie mam ich, wtedy je ktoś zabrał.

— Kłamiesz! Oddaj złodziejko!

Zaczął się zbierać tłum ciekawych. Rozdrażniony Bradmardine zamierzył się pięścią na kobietę i już miał ją uderzyć, gdy jakiś młody, silny człowiek, wyglądający na rzemieślnika lub robotnika, chwycił go za rękę i zawołał:

— Nie pozwolę kobiety uderzyć, wstydź się pan.

— Proszę nie wtrącać się w cudze sprawy. To złodziejka, muszę ją ująć i oddać policyi.

— Ależ ja nie jestem złodziejką; to napaść — mówiła kobieta ze łzami.

W tej chwili zjawiła się i policya. Widząc eleganckiego, bogato ubranego pana, policyanci uwierzyli, że owa kobieta jest złodziejką i chcieli ją zabrać, wtem zjawia się Stuart i szepnąwszy coś agentowi i pokazawszy mu znak jakiś, odezwał się do prześladowcy:

— Proszę natychmiast się oddalić i tej pani dać zupełny spokój. Jeżeli pan raz jeszcze napadniesz na nią, pożałujesz tego panie Bradmardine. Pani jesteś zupełnie swobodną.

Potem jeszcze dał ciche zlecenie ajentowi, policyjnemu i odszedł. Policya zdążała za ową kobietą, strzegąc jej przed ponowną napaścią, dopóki nie zniknęła z oczu prześladowcy.

Zaledwie uszedł Stuart kilka kroków. zbliżył się do niego ów robotnik, co ochronił kobietę od ciosu Bradmardina i rzekł po uprzejmym ukłonie:

Czy pan pozwoli na krótką rozmowę?

— Czego pan sobie życzy? — odpowiedział Stuart patrząc bystro w oczy robotnikowi.

— Uścisnąć dłoń pańską, panie Stuart.

— Ależ ja pana nie znam.

— I ja również nie.

— A więc?

— Poznamy się teraz.

— Kto pan jesteś?

— Francis Ferrars.

— Co? pan?

— Tak, to ja.

— A cóż za spotkanie! Witam pana serdecznie na amerykańskiej ziemi. A toż to dla mnie prawdziwa przyjemność, najmilsza niespodzianka. Jeżeli pan ma czas do dyspozycyi, proszę do mnie. Poznamy się, pogadamy swobodnie; pozna pan mego przyjaciela Jocellyna, sławnego pogromcę fałszerzy monet.

— Słyszałem o nim wiele.

— Zdaje mi się, żeście panowie musieli się już spotykać ze sobą.

— Nie wiem o tem.

— Ej, to pewne, bo obaj panowie ścigacie tę samą zwierzynę.

— Czy pan ma na myśli owego człowieka, którego tak energicznie odprawiłeś?

— Oczywiście.

— Uważam, że go pan także nie bardzo lubi.

— Łotr skończony.

— Więc go pan zna?

— Bardziej, niż potrzeba — rzekł z uśmiechem Stuart.

— Ja tu z Anglii przybywam, aby go śledzić. Właściwie nie zależy mi tyle na nim, ile na osobie, której szukam, a którą spodziewam się odkryć jego z oka nie spuszczając. Lękam się, czy mi teraz nie ujdzie.

— O, niech pan będzie zupełnie spokojny — rzekł Stuart z uśmiechem.

— Pan go widzę dobrze obserwuje.

— O, tak, tak. Ale mniejsza o to. Pan szuka dwóch kobiet, nieprawdaż?

— Skąd taki domysł?

— Bardzo łatwy. Bradmardina znam na wskróś i wszelkie jego sprawy, a że wiem w jakim celu tu się kręci, toć mi nie trudno zgadnąć, po co pan przybył do Ameryki za Bradmardinem.

— Ależ w takim razie powinniśmy działać wspólnie. Zdaje mi się, że i pan szuka kobiety, będącej w związku z Bradmardina pobytem w Ameryce?

— Tak istotnie.

— Działajmy zatem razem.

XVIII.

We trzech.

Oczywiście, że obaj ajenci znalazłszy się w mieszkaniu Stuarta, z największą swobodą użyczali sobie spostrzeżeń, wyjaśnień niezbędnych, skoro wspólnie działać postanowili. Wnet i Jocellyn się zjawił.

— A chodź że Bob! — zawołał Stuart wesoło do wchodzącego. — Czekamy z upragnieniem.

Jocellyn przypatrzył się badawczo obcemu i czekał, aż go Stuart przedstawi.

— Poznajcież się towarzysze podróży — rzekł Stuart wesoło.

Obaj spojrzeli zdziwieni na mówiącego.

— Ależ tak, tak, jeździliście razem w jednej dorożce. Bob Jocellyn jako fiaker na koźle, a Francis Ferrars jako kramarz wiejski, rozkazujący fiakrowi jechać za dorożką, do której wsiadł Bradmardine.

— Więc to ten, ten sławny Francis Ferrars? — rzekł Jocellyn, wpatrując się w twarz gościa.

— Ten sam, a nie inny — mówił Stuart.

Obaj ajenci uścisnęli się przyjaźnie.

— A to dziwny zbieg okoliczności — mówił Jocellyn — zabawna historya z tą naszą jazdą. W głowę zachodziłem, po co kramarz wiejski śledzi Bradmardina.

Rozmowa się nawiązała ożywiona, udzielano sobie wzajemnych wyjaśnień.

— Z całą ufnością opowiedziałem wam kochani towarzysze, historyę dziedziczki milionowego majątku. Wiecie już, że dlatego śledzę Bradmardina, bo on walczy o spadek, walczy o milion funtów szterlingów i chce go zdobyć usunąwszy ze świata właściwą spadkobierczynię. Ponieważ on szuka jej zawzięcie, więc mam go na oczach i za jego idąc śladem, chcę odkryć schronisko sieroty. Jak sądzicie? czy dopnę celu.

— To nie ulega wątpliwości. Znaleść ją pan możesz i znajdziesz, ale czy powieziesz ze sobą do Anglii, to wątpliwe.

— Dlaczego?

— Bo ciąży na niej podejrzenie, iż zabiła męża — powiedział Stuart.

Ferrars osłupiał. Stuart opowiedział mu całą historyę małżeństwa Arteveldta a zarazem pokazał znalezione u ranionej kobiety listy do Bradmardina, listy oczywiście matki Leonory; opowiedział też o pobycie swym u dra Austina i w zakładzie dra Burtona.

— A czy są jakie istotne poszlaki, któreby świadczyły o winie Leonory? — zapytał Ferrars.

— Najważniejsze, czy najwymowniejsze to, że się ukrywa, że zobaczywszy mnie, znikła z zakładu dra Burtona — mówił Stuart. Mimo tego mam to przekonanie i dążę do tego, aby niewinność jej wykazać, udowodnić, zanimby aresztowaną być mogła.

— Gdyby ją stawiono przed sądem, Bradmardine odniósłby zwycięstwo. Dumny baronet nie przekazałby dziedzictwa nawet wnuczce swojej, gdyby jej nazwisko wiązało się z dochodzeniem karnem. Choćby ją najzupełniej uniewinniono, już samo stawienie przed sądem pozbawiłoby jej dziedzictwa — mówił Ferrars.

— Dlatego to — wtrącił Stuart — działajmy we trzech. Wyznaczę wam rolę bardzo zajmującą a sam udam się w podróż.

— Co? co? — zapytał zdziwiony Jocellyn.

— W podróż, powiadam.

— Tobie żarty w głowie.

— Słuchajcie. Bradmardine odkrył schronienie Leonory, która ukrywała się u śpiewaczki Harris i chce ją dostać w swe łapy.

— Skądże się pan dowiedziałeś o tem — spytał Ferrars.

— W sposób bardzo prosty. Pełnię u Bradmardina w przebraniu kobiecem obowiązki jego prywatnego ajenta, czy szpiega, jak się wam podoba. Przysiągłby na to, że jestem wdową O' Neil. Przez kilka dni kazał mi grać rolę swojej siostry, aby w ten sposób zwabić do siebie Leonorę. Otóż weźcie wy w opiekę tego łotrzyka, a ja wyruszę na wyprawę po dowody, że Leonora niewinna. Co mi się nasunęło, to wam powiem w zaufaniu. Jeżeli mi się to uda, będziemy się we trzech bardzo radowali.

I opowiadał Stuart przyjaciołom o celu swej wycieczki.



Weź pan ten flakonik i daj zbadać chemikowi płyn w nim zawarty.

XIX.

Nie udało się.

Bradmardine tryumfował. Miał już w swej mocy Leonorę, za którą uganiał tak długo po obu półkulach świata. Teraz zniknie przeszkoda do dziedziczenia milionowego spadku; teraz czeka go zwycięstwo w tej walce o milion.

Panna Harris przeniosła się już z Leonorą do mieszkania siostry Sennora Castro.

Wdowa O' Neil, a raczej Stuart, znamienicie wykonywała rolę siostry bogatego Kubańczyka i umiała sobie zjednać życzliwość i zaufanie obu, z czego „Sennor Castro“ bardzo był zadowolony. Zdawało się Leonorze, iż teraz zacznie się dla niej słoneczna pogoda życia.

Sennor Castro, czyli Bradmardine, wyprawił wdowę O' Neil w miasto, z poleceniem szukania owej kobiety, którą mu interwencya policyi z rąk usunęła. Wdowa, wychodząc, obejrzała wszystkie zamki i klucze, a przy jednym zamku zabawiła nieco dłużej, nie spostrzeżona przez nikogo.

Wyprosiwszy wdowę, udał się Sennor Castro do pokoju panny Harris.

— Czy mogę panią prosić o wielką przysługę? — zapytał.

— Czem mogę panu usłużyć?

— Zgłosiły się do engagement dwie panienki. Obie bardzo miłe, powabne osoby. Ale to nie wystarcza; chciałbym się przekonać o ich wokalnych zdolnościach. W tej chwili nie mam czasu, bo muszę czynić przygotowania do wyjazdu; czeka na mnie wielu interesantów. Niech pani zechce mnie wyręczyć, odbędzie próbę z temi panienkami i jeżeli pani uzna, że na scenę się przydadzą, natychmiast je zaangażuję.

Pannie Harris bardzo to pochlebiło, że Kubańczyk z takiem zaufaniem porucza je część dyrektorskich zajęć; snuła stąd miłe marzenia o przyszłości, jak w Hawanie obejmie zwolna całkowitą władzę nad teatrem. Najchętniej zgodziła się spełnić życzenie Castra i zaraz poszła pod wskazanym sobie adresem.

Bradmardine zatarł ręce z radości. W domu niema już nikogo, prócz Leonory. Więc teraz, albo nigdy! Zanimby pomoc zjawić się mogła, zanim ktoś przeszkodzić mu zdoła, będzie panem dokumentów do uzyskania spadku potrzebnych, będzie panem życia i śmierci Leonory; może ją usunąć, zabić, porwać, uwieźć. Ma czasu więcej niż godzina, to wystarczy. A więc do dzieła!

Leonora siedziała w swoim pokoju zamyślona. Trzymała książkę, chciała czytać, ale myśli kłębiły się, od książki odrywały i ciągnęły w wir marzeń, nadziei i pragnień. Usłyszała pukanie do drzwi.

Myślała, że to „siostra“ sennora Castro, lub panna Harris i odezwała się:

— Proszę.

Jakież było jej zdumienie, gdy Sennor Castro, wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi na klucz i klucz schował. Stanął przed Leonorą ze wstrętnym, szyderskim uśmiechem.

Leonora nie zlękła się, ale oburzyła tą zuchwałością.

— Sennor Castro — rzekła z godnością i energią — pan zamknąłeś drzwi i klucz schowałeś. Proszę mi klucz oddać natychmiast i wyjść.

— Nie nazywam się Castro — mówił szyderczo Bradmardine — to było nazwisko przybrane, teraz już niepotrzebne.

Leonora zadrżała. Zdawało się jej, że to pewnie ajent policyjny, który ją chce uwięzić.

A więc nie ujdzie już przed pościgiem! Myśl straszna.

Ale Leonora miała taki zapas energii i siły moralnej, że zawsze zdołała opanować się w porę, więc odzyskawszy spokój i zimną krew, zapytała poważnie:

— Jaki cel tej komedyi? czego pan sobie życzysz?

— Celem tej komedyi — mówił Bradmardine szyderczo — pochwycić cię w swoje ręce, co mi się całkowicie udało. A życzę sobie, abyś mi się moja pani zupełnie oddała, była posłuszną i w niczem nie stawiała oporu. Nikt ci z pomocą nie pospieszy, nic cię z mych rąk nie uwolni.

Leonora cofnęła się wstecz, jakby sposobić się chciała do obrony i ponownie z wysileniem energii zapytała:

— Kto pan jesteś, czego chcesz?

— Kto jestem, to obojętne, a chcę, abyś mi natychmiast wydała wszystkie papiery i listy swojej matki.

— Mojej matki? A! już wiem, niegodziwcze! To pan jesteś tym nikczemnikiem, co zatruł życie mojej matki; to pan jesteś tym kłamcą i obłudnikiem, co pod pozorem przyjaźni i życzliwości chciał matce wydrzeć jedyne dziecko. Znam cię już teraz panie Jasonie Bradmardine! Pogardzam tobą, nienawidzę cię złoczyńco i papierów nie wydam nigdy, rozumiesz rozbójniku! (Cdn.)

Śmierć znakomitego ekonomisty.

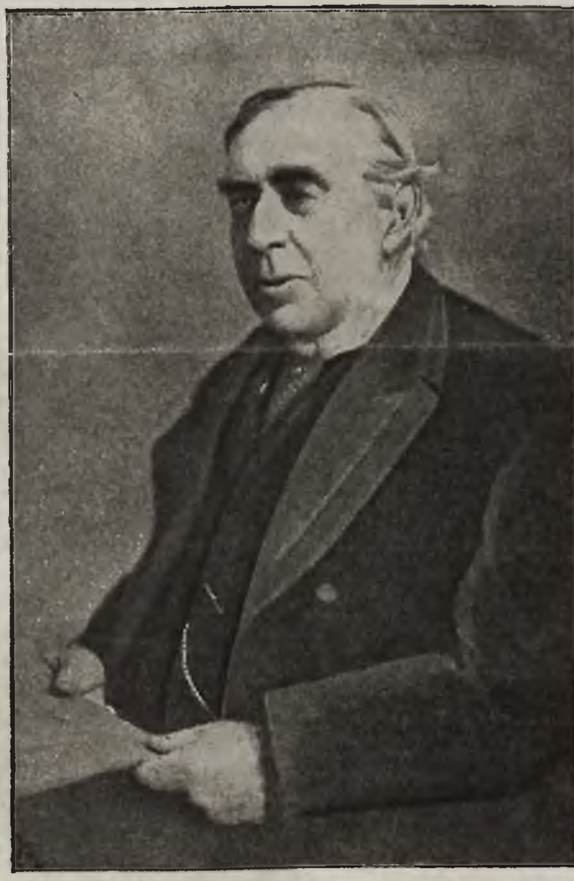
Anglia, nadająca ton we wszystkich sprawach ekonomicznych całemu światu, straciła w tym miesiącu jednego z najwybitniejszych działaczy na tem polu. Był nim lord Jerzy Joachim Goschen, kilkakrotny minister skarbu.

Zawikłane kwestye waluty złotej, lub bimetalizmu, tj. równorzędnej waluty złotej i srebrnej, poposiadały w nim pierwszorzędnego znawcę. Goschen, jako Anglik, mający zawsze na oku tylko interesy swej ojczyzny, gorliwie bronił waluty złotej dla Anglii, popierając bimetalizm we wszystkich innych krajach cywilizowanego świata. W ten sposób pragnął on zapewnić W. Brytanii przewagę nad światowym rynkiem pieniężnym, boć jak wiadomo, złoto w naszych czasach jest jedynym regulatorem wszelkich spraw finansowych tak dobrze w Europie, jak i w Ameryce, do których muszą stosować się Australia i Azya.

Anglicy dumni są z Goschena z dwóch powodów: raz, że uregulował ich finanse, podobnie, jak finanse Egiptu, a następnie, że będąc pierwszym lordem admiralicyi (ministrem marynarki) w ostatnim gabinecie Salisbury'ego, niezmiernie dużo zdziałał dla podniesienia ich potęgi morskiej. Oprócz tego Goschen zajmuje wybitne miejsce w świecie uczonym ekonomistów, jako autor wielu dzieł specyalnych, wśród których pozostanie klasyczną „Teorya zagranicznych kursów zmiennych“.

Zmarły ekonomista, urodzony w 1831 roku, pochodził z rodziny niemieckiej, dziadek jego był księgarzem w Lipsku. Studya uniwersyteckie odbył świetnie w Oxfordzie, poczem wstąpił, jako wspólnik do domu bankowego p. f. „Frühling and Goschen“. W 1863 roku wybrano go po raz pierwszy do parlamentu, a już w dwa lata potem został wiceprezydentem urzędu (ministerstwa) handlowego. Pierwszym lordem admiralicyi mianowano Goschena w liberalnym gabinecie Gladstone'a w 1871 roku. Ustąpił on z tego stanowiska razem ze swym premierem w trzy lata później, przechodząc do opozycyi.

Jako znakomity specyalista wysłany był 1878 roku do Paryża, na konferencyę monetarną, a następnie był czynny w latach 1880-81 w Carogrodzie, jako komisarz angielski przy uregulowaniu granicy grecko- tureckiej. Na ten czas mniej więcej, przypada jego zerwanie z Gladstonem, z którym się poróżnił co do kwestyi irlandzkiej. Przeszedł on później do obozu unionistów liberalnych, popierających politykę konserwatywnego gabinetu Salisbury'ego. W tym gabinecie otrzymał tękę skarbu w 1887 roku. Gdy Salisbury upadł w 1892 roku,



Smierć znakomitego ekonomisty: Jerzy Goschen, były kilkakrotny minister angielski.

Goschen występował gwałtownie jako poseł opozycyjny, przeciw jego następcy Gladstonowi, szczególniej z okazyi bilu „Home rule“, przyznającego autonomię Irlandyi, a także z powodu polityki finansowej ówczesnego ministra skarbu Harcourta. Skoro Salisbury ponownie przyszedł do władzy, znalazł się znów w jego gabinecie Goschen, jako minister marynarki i ustąpił dopiero z nim razem w roku 1900. Następnie otrzymał godność wicehrabiego i wszedł do Izby wyższej. Zmarł w Londynie, swem mieście rodzinnem, na udar serca.



Królewska rocznica urodzin: Wilhelm II., król wirtemberski, który 25-lutego obchodził 60-tą rocznicę urodzin.

Królewska rocznica urodzin.

Wśród państw, tworzących od 1871 roku Rzeszę Niemiecką, zajmuje królestwo Wirtemberskie miejsce trzecie co do powierzchni, a czwarte co do ilości mieszkańców, których liczba przenosi dwa miliony. Kraina to o wysokiej kulturze rolniczej, zasobna w bogactwa kopalniane, z wyjątkiem węgla kamiennego, a szczególniej odznaczająca się wspaniałemi winnicami i sadami drzew owocowych, najpiękniejszemi w całych południowych Niemczech. Ludność w $^2/_3$ jest wyznania protestanckiego, resztę stanowią katolicy. Wirtemberczycy, podobnie, jak reszta Niemców południowych, odznaczają się dobrodusznością, humorem, oraz liberalnemi zapatrywaniami, które to przymioty tak korzystnie ich różnią od Niemców północnych, a szczególniej Prusaków.

Obecny władca Wirtembergii, król Wilhelm II, obchodził 25 b. m. sześćdziesiątą rocznicę swych urodzin. Z tej okazyi jego poddani gotują mu gorące owacye. Król Wilhelm w roku 1865 rozpoczął studya uniwersyteckie w Tybindze, lecz przerwał je w rok później, walcząc po stronie Austryi przeciw Prusakom. Po wojnie uczęszczał znów na uniwersytet, a pogodziwszy się z nowym stanem rzeczy, wytworzonym przez wojnę 66-go roku, wstąpił w roku 1869 do wojska pruskiego. Wojnę przeciw Francyi odbył w głównej kwaterze króla pruskiego. W związki małżeńskie wstępował dwa razy: pierwszy raz z księżniczką Maryą Waldeck Pyrmont, która zmarła zostawiając mu córkę Paulinę, drugi zaś raz z księżniczką Karoliną Schaumburg-Lippe; to drugie małżeństwo jest bezdzietne.

Na tron wstąpił król Wilhelm w 1891 roku po swym stryju Karolu I. W 1889 roku dokonano nań zamachu, którego sprawcę, garbarza Müllera, uznano za waryata.

Obecny władca Wirtembergii nie zaznaczył się wybitnie na polu politycznem, natomiast w sferach sportowych uchodzi za pierwszorzędną powagę, a cieszy się sympatyą mieszkańców swego państewka ze względu na wielką przystępność

Śmierć sędziwej księżnej.

Kilka dni temu, licząc lat 90, zmarła prawie nagle w Wiedniu, księżna Klementyna Koburska, matka księcia Ferdynanda bułgarskiego.

Zmarła należała do niepospolitych osobistości wśród rodzin panujących. Urodzona w 1817 roku, jako córka ostatniego króla francuskiego Ludwika Filipa, zaślubiła w roku 1843 księcia Augusta sasko koburskogotajskiego. Małżeństwo to miało trzech synów: Ferdynanda Filipa, którego skandaliczne procesy z żoną Luizą tyle hałasu narobiły w świecie, Ludwika Augusta oraz Ferdynanda Maksymiliana, obecnego księcia Bułgaryi—i córki: Klotyldę która wyszła za zmarłego w ubiegłym roku arcyksięcia Józefa i Amelię, którą poślubił ks. Maksymilian bawarski, najmłodszy brat śp. cesarzowej Elżbiety.

Niedługo po ślubie przeniosła się księżna Klementyna wraz z mężem, zmarłym w 1881 roku, do Austryi, gdzie księstwo obrali sobie rezydencyę we wspaniałym zamku Ebenthal pod Wiedniem. Ulubieńcem matki był — jak to często się zdarza nie tylko w rodzinach książęcych — najmłodszy syn Ferdynand. Za jej to wpływem głównie zgodził się wstąpić na niepewny tron bułgarski po wypędzeniu księcia Aleksandra Battenberskiego.

Sytuacya nowowybranego księcia była nad wyraz trudna. Wzburzone fale życia politycznego groziły każdej chwili księciu Ferdynandowi, który przyjął władzę z rąk Stambułowa, a któremu odpłacił się w tak strasznie niewdzięczny sposób. Dzięki jednak rozumnym radom swej matki, a szczególniej jej pieniądzom, udało mu się szczęśliwie dotąd przepływać między Scyllą a Charybdą. Księżna Klementyna osobiście bogata, nie żałowała monety, aby między ubogimi Bułgarami wyrobić „nastrój“ dla swego syna. Ogromne sumy wydawała na szkoły na cele dobroczynne, a nawet sprawiła uniformy dla jednego z pułków kawaleryi bułgarskiej.

Pomimo, że była gorliwą katoliczką nie sprzeciwiała się przejściu następcy tronu, ks. Borysa, na prawosławie, a ciągłe usiłowania jej były skierowane do wytworzenia jak najserdeczniejszych stosunków między przybraną ojczyzną syna a Rosyą, w której upatrywała główne poparcie Bułgaryi. Ostatnie lata swego życia spędziła głównie w Sofii, skąd też po przebyciu ciężkiego zapalenia płuc, jadąc na południe, zatrzymała się w Wiedniu, gdzie ją śmierć zaskoczyła.



Smierć sędziwej księżnej: Zmarła w Wiedniu księżna Klementyna Koburska.

Kronika tygodniowa.

Przypuszczenia nasze co do obrazu walki wyborczej w Warszawie sprawdziły się z jednym tylko wyjątkiem. Pomyliliśmy się mianowicie w obliczeniu przypuszczalnej ogólnej ilości głosujących, ale pomyłka to usprawiedliwiona. Przy pierwszych wyborach w r. z. było uprawnionych do głosowania 105 000, przy obecnych wyborach tylko 81.000, ponieważ zaś w r. z. głosowało 66.000 prawyborców, przypuszczaliśmy, że w r. b. stanie ich do urny koło 50.000, tem więcej, że dzienniki warszawskie liczbę tych, co się zgłosili po karty wyborcze aż do dnia wyboru, podawały na 44 000. Tymczasem udział wypadł znacznie większy, bo ogół głosujących wyniósł 58.000, co stanowiło blisko 72% uprawnionych do głosowania (w r. z. głosowało tylko 64% ogółu prawyborców). Dowodzi to, że agitacya z obu stron była silniejsza niż w roku zeszłym, bo 1.640 głosów socyalistycznych nie zaważyło znacznie na tej różnicy procentowej.

Poza tem przypuszczalny stosunek cyfr, jaki podaliśmy, został stwierdzony prawie co do joty. Przypuszczaliśmy mianowicie, że koncentracya narodowa będzie miała przewagę 3.000—4.000 głosów — okazało się, że ta przewaga wynosiła 3.600 głosów, na listę bowiem koncentracyi padło 30.630 głosów. a na listę t. zw. zjednoczenia postępowego i socyalnej demokracyi głosowało 26 945. Ciekawa jest rzecz, że w tabeli porównawczej nie znajdujemy całkiem głosów rzuconych przez Rosyan na ich własnych kandydatów, jak to było przy zeszłorocznym wyborze. Widocznie więc odechciało się tym razem Rosyanom warszawskim obliczać swoje siły i albo zupełnie usunęli się od głosowania, albo też, jak twierdzi „Riecz", część ich oddała głosy na listę „postępowego zjednoczenia".

Że wybory były bardzo niepewne, że szale bardzo się ważyły, dowodzą cyfry z okręgu drugiego, w którym lista koncentracyi zwyciężyła zaledwie 80 głosami na 3.400 głosujących. Gdyby ten okręg był przepadł dla koncentracyi, to jedyna jej przewaga polegałaby na zwycięstwie w okręgu VII i to zwycięstwie również niewielkiem, bo 3-ma tysiącami i coś głosów na 5 700 głosujących. Te dwa okręgi zdecydowały; — odmienny wynik obie walczące strony obdarzyłby równą ilością wyborców, a ponieważ robotnicy, mający osobną kuryę, złożoną z 3 wyborców, wybrali samych socyalistów, przeto nie ulega wątpliwości, że koncentracya narodowa poniosłaby klęskę przy wyborach.

Gdyby zaś poniosła klęskę, stałoby się to, co przewidywaliśmy. Nietylko pp. Dmowski i Nowodworski, ale ani p. Świętochowski, ani p. Krzywicki nie zostaliby posłami warszawskimi, ponieważ w tych okręgach, w jakich pp. Ś. i K. mieli prawo kandydować, bezwzględną większość posiadała koncentracya, lub ściślej mówiąc, demokracya narodowa. A kto nie jest wyborcą, ten posłem być nie może. Wprawdzie obaj postępowi kandydaci zgłosili swe kandydatury w okręgu przeważnie żydowskim i zostali w nim wybrani przeszło 3.000 głosów na 5.000 głosujących, ale wpisanie ich na listę w tym okręgu, jako nie odpowiadające przepisom ustawy, komisya wyborcza unieważniła, a unieważnienie to zatwierdziło orzeczenie wyższej instancyi, t. j. senatu. Musiałaby więc większość „postępowa" oddać swe głosy komu innemu. A komu? — w tem sęk. I to sęk nie lada, sęk nad sęki, nadsęk, metasęk prawdziwy. Ażeby Czytelnicy nie myśleli, że żartujemy, podajemy nazwiska tych, co przeszli na liście postępowej. Oto one: Szlama Berkman buchalter, Zyskind Biaier właściciel domu, Icek Brochis przemysłowiec, Nosek Bromberg kupiec, Aszer Ebin kupiec, Zygmunt Feinkind właściciel domu, Henzel Farbstein właściciel domu, Antoni Gabszewicz lekarz, Srul Jabłoński kupiec, K. Klimowicz inżynier, Adam Prywes kupiec, Szaja Rosenbojm kupiec, Lejzor Samenhof lekarz itd. I wybierajże tu z tej listy dwu posłów stolicy!

Wogóle wybory w Królestwie były zwycięstwem koncentracyi. Na 34 wybranych Polaków (w gubernii suwalskiej wybrano 2 Litwinów) 27 należy do demokracyi narodowej, 4 do realistów, a 3 do polskiej partyi postępowej. Przed rokiem wybrani byli tylko sami demokraci narodowi, ale ta wyłączność spotkała się z krytyką i sama demokracya uznała, że był to błąd, że kraju nie powinno reprezentować tylko jedno stronnictwo. Następstwem tego wyrzeczenia się błędu było zawiązanie koncentracyi i odstąpienie kilku mandatów ugodowej prawicy i umiarkowanej lewicy. Pierwsza jednak nie czuje się zadowoloną, nie otrzymała bowiem jednego mandatu w Warszawie, czego bardzo pragnęła i nie dopuszczono do wyboru dwu jej kandydatów Straszewicza i Grendyszyńskiego, głównych filarów petersburskiego „Kraju" i b. ugodowości. Powstało stąd rozdrażnienie, a nawet zerwanie stosunków i panowie „realiści" wybrani na posłów, kandydowali na własną rękę, a nie z ramienia stronnictwa.

Klęska i to wielka, tem bardziej, że niespodziewana, spotkała nas na Litwie i w „krajach zabranych", tj. na Rusi. W pierwszej Dumie między reprezentantami tych prowincyj było blisko 30 Polaków, obecnie liczba ich miała się zwiększyć. Jeszcze w listopadzie na zjeździe agrarnym w Warszawie, obywatele z Litwy i Rusi zaręczali, że przypadnie nam w ich stronach koło 40 mandatów, a w najgorszym razie 30. Tymczasem na Wołyniu i Ukrainie nie wybrano ani jednego Polaka, na Podolu jednego, a na Litwie i Białorusi 10. Zwyciężyliśmy właściwie tylko w gubernii wileńskiej, która nam dała 6 posłów. Poza tem wybrano 2 Polaków w gubernii witebskiej, a po jednym w guberniach grodzieńskiej, mohylowskiej i podolskiej. Charakterystycznym jest również upadek kandydatur żydowskich, charakterystycznym i przez to, że tak na Litwie jak na Rusi żydzi występowali z zacietrzewieniem przeciw Polakom, podkopywali ich i sami w dół wpadli. Na Ukrainie i ich i prawdziwych Rosyan wyprowadzili w pole chłopi ukraińscy. Pozornie podzielili się na dwie partye: jedna sprzymierzyła się niby z istinno-russkimi, druga z żydami — ale przy wyborach obie partye poszły zgodnie i głosowały tylko na włościan, zyskawszy podstępnie i pewną ilość głosów ze strony „sprzymierzeńców". „Kijewlanin" wścieka się ze złości i nazywa wszystkich Ukraińców „płatami" (oszustami). Zawiodła nadzieja, pokładana w popach — okazało się, że ci pasterze dusz może byliby dobrzy do paszenia baranów, ale nie mają żadnego wpływu na swe owieczki.

Dla nas fałszywość Rusinów dawno przestała być nowiną. Od początku ery konstytucyjnej wszelkie nasze próby wynalezienia „modus vivendi" z nimi, spełzły na niczem. Oni się trzymają metody napaści, a my ciągłego ustępowania. A jeżeli sami nie ustępujemy, to z góry każą nam ustępować. Na czystą farsę wygląda np. sprawa akademików ruskich, uwięzionych za barbarzyński napad na uniwersytet lwowski. Sprawa to zbyt wszystkim znana, aby podawać jej szczegóły. Ale to częściowe uwolnienie uwięzionych, to wynoszenie ich przemocą z więzienia, ta komedya głodowa, to wreszcie ustąpienie żądaniu uwięzionych, aby ich wszystkich uwolniono, ten pochód tryumfalny bohaterów, te wieńce laurowe przygotowane dla hajdamaków — wszystko to rzeczy, o których rzeczywiście filozofom się nie śniło. Zelgaby Ben Akiba, gdyby powiedział: „Alles schon da gewesen". A te wielkokolumnowe łzy „Neue freie Presse" nad ofiarami polskiego gwałtu, to przecież prawdziwe w tym świecie... nowości, wprawdzie nie illustrowane, ale świetnie illustrujące obłudę wiedeńskich z pod ciemnej gwiazdy pismaków.

Smutna wiadomość dla europejskich feministek dochodzi z Chicago. Przez kilkanaście lat, powołując się na Amerykę, walczyły one o otwarcie kobietom podwojów uniwersyteckich — i zdobyły je szturmem. Zachęcone powodzeniem, zaczęły kruszyć kopie o koedukacyę młodzieży w szkołach średnich i ludowych. Tu mury twierdzy męskiego wstecznictwa okazały się silniejsze. Ale szturm nie ustaje. Zwłaszcza feministki warszawskie, zasilane gościnnie występującemi języczkami ochotniczek galicyjskich, w każdej porze dnia i nocy, czy deszcz czy pogoda, w chwilach nawet, kiedy całe społeczeństwo było wyłącznie zajęte walką o wolność i prawa narodowe, nie ustawały w pracy i przekonywały każdego i każdą, że dopóty nie będzie dobrze na świecie, dopóty raj ziemski nie stanie się rzeczywistością, dopóki Zosia nie będzie siedziała na jednej ławce z Józiem, dopóki Ignaś z Kocią nie będą jednocześnie w jednej sali i w jednej i tej samej godzinie dowiadywali się, co to za zwierz „ablativus absolutus" i czemu się równa kwadrat z przeciwprostokątnej. Miał na tem zyskać świat, miała zyskać ojczyzna, ekonomia, polityka, sztuka czysta i stosowana, pedagogia, literatura i — historya naturalna. To też kiedy przybył do nas słynny reformator angielskiej szkoły Redie i oświadczył, że w Anglii ta reforma nie znajduje uznania, feministki nasze z dumą pogardy wyrażały się o wstecznictwie angielskiem i stawiały Amerykę za wzór, do czego umie dojść ta sama wsteczna rasa anglo-saksońska, kiedy podąża drogami postępu. Aż tu (o dolo nieszczęśliwa!) Amerykanie nietylko cofają się przed koedukacyą w szkołach średnich, ale nabrali przekonania, że nawet wspólna nauka obojej płci na uniwersytecie daje ujemne rezultaty. A to przekonanie wystarczyło praktycznym Amerykanom do projektu założenia osobnego uniwersytetu dla kobiet. A co dziś w Ameryce jest projektem, to jutro staje się czynem.

U nas rzeczy tak prędko nie idą. Od trzydziestu lat przebąkiwano, od dwudziestu mówiono, od dziesięciu uznano, od pięciu uchwalono, że gimnazyum niemieckie w Brodach powinno przejść w zasłużony stan spoczynku. I dopiero teraz słowo staje się ciałem. Ale szanownemu Wiedniowi przykro, że placówka germanizacyi ma paść ofiarą polskiej intrygi. Więc też komunikat ministeryalny uznaje tylko, iż Brody nie są miejscem odpowiedniem dla gimnazyum niemieckiego, że należy je umieścić w miejscu stosowniejszem. Jestto prawdopodobnie tylko wykręt dla zamydlenia oczu austryackiej hakacie (choć dyabeł nie śpi!), ale sama potrzeba takiego wykrętu rzuca światło na stosunki, panujące po tej stronie Litawy.

Niemiec zresztą będzie zawsze Niemcem, żądnym hegemonii nad całym światem, choćby był nawet socyalistą. Uderzającym na to dowodem jest sprawa kandydatur socyalistycznych w Wiedniu. Czesi stanowią przynajmniej czwartą część socyalistów wiedeńskich, więc też słusznie żądają, aby w jednym z okręgów postawiono ich kandydata. Hola! wołają na to socyaliści niemieccy, my tu panami, wara obcym od naszego niemieckiego Wiednia!

Wara Polakom od naszego niemieckiego kościoła! woła znowu ks. Jeder w Berlinie. Kiedy zbierał pieniądze na budowę świątyni pod wezwaniem N. M. Panny, wtedy odzywał się do uczuć patryotycznych Polaków, zachęcając ich do ofiar na cześć „Królowej waszej Korony polskiej". A gdy już za polskie w znacznej części pieniądze wybudował kościół, to mimo, że 4 000 Polaków należy do jego parafii, nietylko nie pozwala na polskie śpiewy i kazania, ale usunął nawet zupełnie Polaków z dozoru kościelnego. Tak to Niemiec, czy socyał, czy katolik, jest przedewszystkiem Niemcem, ~~gnębicielem każdej innej narodowości.~~ „Co było do okazania" powiedzielibyśmy, gdyby tego wogóle dowodzić było jeszcze potrzeba.

Kącik humorystyczny.

Już nie żyje.

Baczeles czyta swemu przyjacielowi najnowszy swój poemat.

— Nu — pyta przy końcu — podobi si tobi ten poemat, co?

— Wiersz jest dobry, ale on jest zdaje mi się od Mickiewicza.

— Od Mickiewicza? — pyta zdziwiony Baczeles — nie bądź głupi, Mickiewicz już dawno nie żyje!

Czemu?

Abeles. Wiesz Pulver, ja tu *aus.*

Pulver. Co znaczy *aus?*

Abeles. Ja do ty kawiarni więcy nie przychodzy!

Pulver. Ou? Czemu?

Abeles. Bo tu jest za mały wybór.

Pulver. Taże masz tu wielki wybór gazet.

Abeles. Ale ja mówi o zarzutkach...

Dokładny.

W pewnej mieścinie mieszkali dwaj żydzi. Obaj nazywali się Karpeles. Dla odróżnienia nazywano jednego „Karpeles garbaty" a drugiego „Karpeles długi". Gdy razu pewnego obaj byli w bóżnicy i stali obok siebie przy modlitwie, modlił się garbaty Karpeles w ten sposób:

— Wysłuchaj mnie wielki Boże, i dopomóż mnie, Karpelesowi garbatemu.

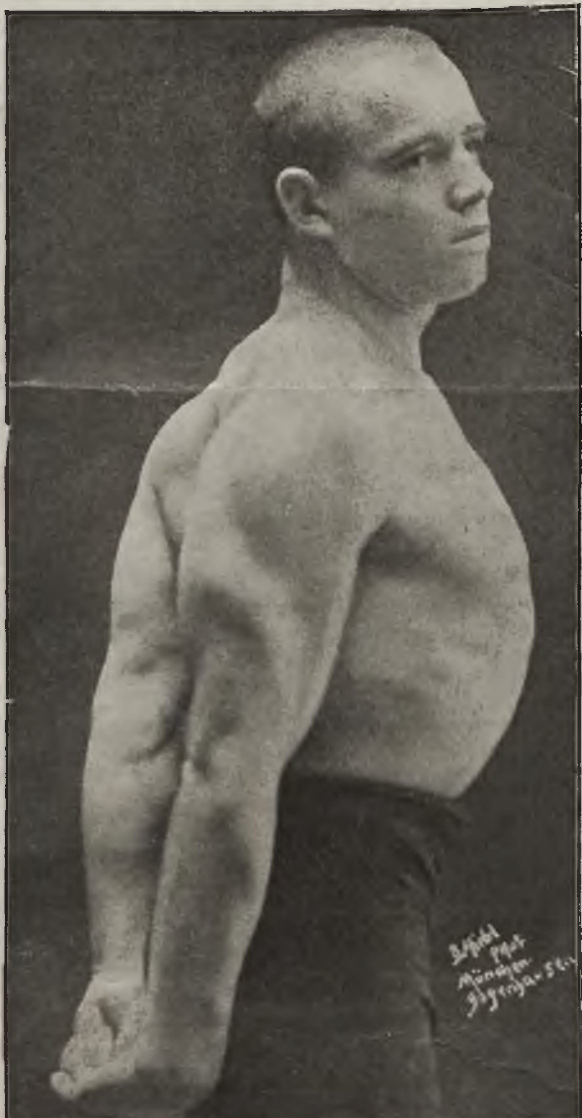
Usłyszał to Karpeles długi i pyta.

— Czemu ty dodajesz „garbaty"?

— Aby nas Pan Bóg nie zamieniał — odpowiada garbaty Karpeles.

Nowy atleta polski.

Sport atletyczny wprawdzie powoli rozwija się u nas, jednak już możemy poszczycić się takimi szampionami światowej sławy, jak Pytlasiński, Cyganiewicz, Bieńkowski, Rogalski, Popławski i w. i. Do ich szeregu przybywa nowa, młoda siła, krakowianin i były członek krakowskiego Sokoła, Antoni Derma, liczący dopiero lat dziewiętnaście. Z umieszczonej w dzisiejszym numerze „Nowości Illustrowanych“ podobizny można wnioskować, że jestto materyał na pierwszorzędnego siłacza o budowie ciała prawdziwie klasycznej.



Nowy atleta polski: Krakowianin 19-letni Antoni Derma, który zdobył »mistrzostwo bawarskie«.

Derma przebywa obecnie w monachijskiej szkole atletów i jako amator zdobył już cztery nagrody w zapasach. Z tych nagród jedna przyniosła mu tzw. „Mistrzostwo bawarskie“. Miarą siły tego młodego atlety jest fakt, że oburącz dźwiga 110, jedną ręką zaś 78 kilogramów. Można się tedy spodziewać, że już w najkrótszym czasie Derma zajmie poczestne miejsce pośród plejady polskich zapaśników, którzy stoją już na wyżynach swego kunsztu.

Uwolnienie ruskich akademików.

Stała się rzecz istotnie dotąd w dziejach sądownictwa, nie tylko lwowskiego, galicyjskiego, lecz austryackiego, — niebywała. Sąd, najszczytniejsza w pojęciach ogółu instytucya, synonim niezależności i sprawiedliwości, uległ presyi ministerstwa wiedeńskiego z jednej strony, a terrorowi garstki hajdamaków ruskich z drugiej. Uwięziwszy zgodnie z przepisami procedury kilkudziesięciu sprawców niesłychanego, barbarzyńskiego napadu na gmach uniwersytetu we Lwowie, na świątynię nauki, — następnie wszystkich obwinionych z więzienia śledczego puścił na wolną stopę.

Naturalną konsekwencyą tego niefortunnego kroku, popełnionego przez lwowski sąd apelacyjny, były zajścia, jakich widownią był Lwów w ubiegłą niedzielę, w dzień uwolnienia hajdamaków.

Jeszcze zanim było wiadomem, czy sąd zgodzi się na puszczenie winowajców na wolną stopę, w niedzielę rano i przed południem poczęły się pod gmachem sądu gromadzić naprzód małe grupki młodzieży obojga płci, a potem coraz liczniejsze zastępy. Około godz. 12 w południe cała dolna część ul. Batorego była wypełniona tłumem, wśród którego policya tylko z trudem była w stanie utrzymać jaki taki porządek. Czując się bezpiecznym, tłum urządzał co chwilę hałaśliwe demonstracye.

Dzikie krzyki i świsty, obrzucanie obelgami policyi, nieustanne prowokowanie przechodniów — oto słaby obraz scen, jakich widownią była w niedzielę ul. Batorego. Chwilami tylko okrzyki cichły, a to wówczas, gdy karetka pogotowia ratunkowego wywoziła z gmachu sądowego niektórych obwinionych, rzekomo osłabionych słynną głodówką. Wówczas urządzał tłum owacye na cześć „bohaterów“, witając ich okrzykami: „sławno“, „czest“ itp. i obrzucając kwiatami. Bo i kwiatowej owacyi nie brakło. Kwiatów dostarczyło mianowicie grono pań ruskich i kiedy miała się pojawić karetka pogotowia, rozdawano je między tłum, tworzący szpaler od bramy sądu do środka ulicy. Trzy razy powtarzały się tego rodzaju sceny.

Tymczasem zapadła uchwała apelacyi, dopuszczająca uwolnienie reszty inkwizytorów, za złożeniem kaucyi. Około godz. 2 po południu, przynieśli posłowie ruscy potrzebne na kaucyę pieniądze, poczem nastąpiło opuszczenie murów więziennych przez kilkudziesięciu „bohaterów“.



Fot. Drankow, Petersburg.

Nowy prokurator wojenny w Rosyi: Generał Rylke, Polak z pochodzenia, mianowany naczelnym prokuratorem wojennym.

Zgromadzony przed gmachem tłum utworzył szpaler, a kiedy otwarły się drzwi sądu i pojawili się „bohaterowie“, obrzucono ich kwiatami i ogłuszającymi powitano okrzykami. Znalazł się i wielki wieniec laurowy o barwach narodowych ruskich,



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.

Uwolnienie ruskich akademików: Karetka pogotowia ratunkowego wśród owacyi wywozi z sądu lwowskiego do szpitala uczestników »głodówki« w więzieniu.

ofiarowany przez „towarzyszki“ i za tym wieńcem ruszyli uwolnieni studenci grupkami po dwu lub trzech. A za nimi runął tłum tysięczny, z pieśnią na ustach.

Demonstracya niedzielna skończyła się w ul. Sykstuskiej, pod „narodną hostynnycią“, z której balkonu wygłosił jeden z prowodyrów ruskich płomienną mowę. „Przeciwnicy nasi leżą zdeptani i upokorzeni pod naszemi nogami“ — wołał on z tryumfującą miną. Jakie okrzyki, jakie objawy radości słowom tym towarzyszyły, nie trudno się domyśleć.

W ten to sposób skończył się drugi akt pamiętnych zajść na uniwersytecie lwowskim.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające chwilę, jak karetka pogotowia ratunkowego wywozi z gmachu sądowego „wygłodzonych“ studentów, oraz chwilę, kiedy inni inkwizyci wychodzą, witani owacyjnie, na wolność.



Krwawy napad na pocztę: Wejście na filię pocztową od ulicy Wspólnej w Warszawie, gdzie bandyci, rabując pieniądze, zabili i poranili kilkanaście osób.

Krwawy napad na pocztę.

Już dosyć dawno nie było w ostatnim czasie w Warszawie tak krwawego w następstwach napadu bandyckiego, jak śmiały zamach na filię pocztową na rogu Kruczej i Wspólnej. Kantor pocztowy mieści się tutaj na wysokim parterze, a jak widać na załączonej fotografii — drzwi do biura prowadzą po schodkach bezpośrednio z ulicy Wspólnej. Wewnątrz jest nieduża poczekalnia dla publiczności; po obu bokach okienka, za któremi w sąsiednich pokojach siedzą urzędnicy pocztowi i urzędniczki również w mundurach. Przy okienkach tych właśnie w chwili krytycznej publiczność załatwiała interesy, nadając listy polecone, odbierając pieniądze, lub kupując marki. Nadto w poczekalni stało kilku żołnierzy z karabinami na straży, jak wszędzie teraz w biurach podczas stanu wojennego. Wtem wpadło do kantoru pocztowego z ulicy kilkunastu młodych ludzi z rewolwerami. Krzyknęli: „ręce do góry! nie ruszać się z miejsca!“ I jednocześnie padły strzały, kładąc trupem od razu kilkoro ludzi, lub raniąc innych ciężko. Między ofiarami znaleźli się i żołnierze, stanowiący wartę i woźni pocztowi i interesanci przy okienkach. Kiedy w ten sposób napastnicy udaremnili już wszelką obronę, skierowali dalsze strzały do urzędników pocztowych wewnątrz biura, poczem, widocznie dobrze z rozkładem obznajomieni, rzucili się na worki z pieniądzmi. Porwali, co było pod ręką i umknęli. Widziano ich na ulicy, jak się rozbiegali w różne strony, ukrywając pod paltami zrabowane worki i kasetki. Przez okno, krzyżykiem na naszej rycinie oznaczone wyskakiwały, ratując się, urzędniczki z biura i interesanci z publiczności. Z najbliższego cyrkułu nadeszła pomoc, gdy już nikogo z uczestników napadu nie było na miejscu. W filii pocztowej zastano kilka trupów i kilkunastu rannych. Między zabitymi znaleziono naczelnika tego urzędu, Oleszkiewicza, który osierocił ośmioro drobnych dzieci. Niektórzy z rannych zmarli dopiero w szpitalach. Ogółem skutkiem napadu bandytów, którzy około 10.000 rubli zrabowali z poczty, straciło życie dziewięcioro ludzi, a kilku leczy się jeszcze z ran. Chyba że żadna z partyj politycznych nie przyzna się do tego krwawego aktu rozbójniczego.

Seweryn Nowicki.

W świecie teatralnym jubileusz nie jest rzadkością — nie często się jednak zdarza, aby jubilat-amant wyglądał tak czerstwo i młodo jak Seweryn Nowicki, artysta teatru warszawskiego. Ominęły go amerykańskie miliony, ale nie ominą go wkrótce wieńce i laury, które publiczność warszawska z okazyi dwudziestopięcioletniej rzetelnej i sumiennej pracy scenicznej, przygotowuje dla swego ulubieńca.

Zasłużył on na to w zupełności; grał przez dwadzieścia pięć lat bardzo dużo, stworzył wiele doskonałych ról w komedyach i dsamatach Słowackiego, Szekspira, Schillera, Fredry (ojca), Lubowskiego, Blizińskiego, Zalewskiego, Kozłowskiego, Bałuckiego Przybyszewskiego, oraz autorów polskich i niemieckich ostatniej doby; opromienia je zawsze prawdziwym talentem i drobiazgowem wykończeniem, nie lekceważąc nigdy nawet małych ról. Pod tym względem Nowicki świetnie się zapisał w historyi polskiego teatru, a wymienienie tych wszystkich postaci zbyt dużo zajęłoby miejsca. Z ostatnich ról dość wspomnieć „Nową Dejanirę“ Słowackiego, „W szponach“, „Dla szczęścia“ Przybyszewskiego, „Pochodnię“ Kozłowskiego, „Dyrektora Flachsmana“, „Młodość“ itd. itd.

Wspólnie z Józefem Śliwickim i Rolandem, (w świecie zakulisowym „Rolkiem“ nazwanym) stanowi on znakomitą trójkę amantów dramatycznych, których każda scena, scenie warszawskiej po zazdrościć może. Każdy z nich wnosi na scenę odrębną indywidualność, zarysowaną silnym temperamenten i głęboką szczerością uczucia, a współdziałanie ich w dramatach i komedyach wyższego pokroju, przyczynia się wielce do powodzenia



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.

Uwolnienie ruskich akademików: Przed sądem na ulicy Batorego we Lwowie Rusini oczekują wypuszczenia z więzienia akademików.

sztuk. W grze ich jest zapał i młodość, stąd wrażenie jest zawsze podniosłe i ujmujące. Ta młodość, jest niemal typowym objawem wielu artystów sceny warszawskiej, że dość wspomnieć Edwarda Wolskiego, który pracując na scenie przeszło trzydzieści lat, gra z niezrównanym humorem, lekkością i świeżością rolę Józia w komedyi „Oj! młody, młody“, a postacią swoją i twarzą do złudzenia tworzy typ dwudziestoletniego młodzieńca.

Nowicki zanim wstąpił na scenę warszawską i wytrwałą pracą zdobył sobie na niej pierwszorzędne stanowisko, występował przez kilka lat we Lwowie, przeważnie w operach. Ten rodzaj sztuki, w której mógł również zdobyć poważne stanowisko, bo rozporządzał pięknym i silnym głosem barytonowym, nie nęcił go, pociągał go artyzm szlachetniejszy, wyższy, bohaterski Karol Moor przemówił zbyt silnie do wyobraźni młodego artysty, aby mógł służyć dłużej lekkiej Muzie, a czar prawdziwej poezyi wprowadził go na arenę wielkiej sztuki, której służy wiernie i godnie. Kiedy Jan Tatarkiewicz, jeden z najlepszych amantów sceny warszawskiej umarł, Nowicki objął po nim cały wydział ról; była to piękna i dobrze zapisana w historyi teatru epoka panowania tak zasłużonych autorów, jak Edward Lubowski, K. Zalewski, Koziebrodzki, Fredro (syn), Bałucki, Dumas, Sardou, Pailleron itd. — W tych utworach odznaczył się doskonale Nowicki w rolach uczuciowych i wraz z Wolskim, zawsze wykwintnie swobodnym amantem był niemal jedynym reprezentantem młodych ról. Później zaangażowano Rolanda i Śliwickiego, którzy teatrowi nieśli na usługi swój talent i pracę. Gdy wreszcie na scenie zapanował nowy prąd i zjawił się tak bardzo oryginalny i silny talent jak Przybyszewski z całym zastępem szczęśliwych lub mniej szczęśliwych naśladowców, Nowicki umiał z przedziwną intuicyą przejmować się myślą tych autorów, odgadywać ich zamiary i dziwactwa, nadawać pozory prawdy ich majaczeniom i fantazyom. Przybyszewski zwłaszcza miał w Nowickim doskonałego interpretatora, wraz z Żelazowskim, Śliwickim Teklą Trapszo Federowiczową w sztukach „Dla szczęścia“, „Śnieg“ upamiętnili się swą grą i upamiętnili potężnego autora. Trudno zresztą w krótkim szkicu, wymieniać i wyszczególniać Nowickiego w poszczególnych rolach; tym, którzy go nie znają trzeba dać wyobrażenie, streszczające się w kilku słowach: artysta dzielny, pełen zapału i uczucia, porywający melodyjną deklamacyą i prawdziwym akcentem dramatycznym, zawsze intelligentny, wybornie pamięciowo opracowujący rolę — ci zaś którzy go znają ze sceny, upamiętnią sobie chętnie cały szereg postaci, przez niego stworzonych i złożą chętnie ręce do oklasku na jubileuszowem przedstawieniu w dniu 10 marca r. b. *Z.*



Seweryn Nowicki, jubilat-artysta sceny warszawskiej.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

9. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— Czytałem w dziennikach, że znaleziono złamaną spinkę.

— Ba! panie, ta spinka byłaby wielkim pomocnikiem do wyszukania mordercy, gdyby się wiedziało, gdzie kupiona. Obiegłem wszystkich jubilerów, wszystkie handle galanteryjne. Daremnie. Każdy jubiler powiada, że to robota drogocenna, ale żaden jej nie wykonał i nawet nie można dociec, gdzie ją zrobiono. Takiego dziecka, jak owa miniatura na spince, nie ma w całej Genui.

— Cóż policya pocznie z tą sprawą?

— Na razie wiemy tyle, że zbrodniarz niepospolicie zręczny, niepospolicie zuchwały, a i to coś znaczy.

Właśnie przesunęła się koło nich elegancka, piękna para podróżnych, zwracająca uwagę tych, co mieli czas przyglądać się drugim. Zdążała do pociągu pospiesznego, idącego do Wenecyi. Aleksandrowicz przypatrzył się tej parze uważnie i bystro, zwłaszcza okazałemu mężczyznie.

— Czy pan ich zna? — zapytał urzędnik.

— Nie, nie znam; ale tego pana już gdzieś widziałem, lecz nie pamiętam. Ale zdaje mi się, że warto mu się przyjrzeć jeszcze.

To rzekłszy, opuścił Aleksandrowicz towarzysza i podążył za ową parą, obserwując okazałego mężczyznę. Urzędnik, zdjęty ciekawością, pospieszył za ajentem. Znowu się zeszli.

— Czy pan co podejrzywa?

— Ajent policyjny musi dobrze patrzyć nawet na tych, którychby podejrzewać nie chciał, czy nie mógł. Mój panie; zbrodnie w tym rodzaju, co na Santa Nicola, popełniają tak stylowo albo wielcy panowie, albo najzręczniejsze rzezimieszki.

— No, to mogę zapewnić, że w tej parze nie znajduje się morderca. Dziwi mnie, że pan ich nie zna. Ja spotykałem ich kilka razy w teatrze i na koncertach, a jeden z moich przyjaciół, który przez czas jakiś bawił w Paryżu, opowiadał mi ciekawe o nich szczegóły. Ona była baletnicą; zebrała ogromny majątek i wypoczywa sobie w Genui. Mając pieniądze, zapragnęła nazwiska, więc szukała męża z tytułem. On pochodzi z bardzo starożytnej rodziny szlacheckiej, na pół hiszpańskiej, na pół włoskiej. Jest to hrabia Montegretto. Rodzina upadła majątkowo, a szczególniej hrabia Alfonso resztkami goni, jeżeli mu jakie pozostały. Chciał za swe nazwisko kupić majątek, czyli ożenić się bogato. Starał się nawet o córkę jednego z naszych kupców, ale panienka nie pragnęła wcale tytułu hrabiny, tylko szczęścia i wyszła za mąż wedle serca, a nie z próżności. Hr. Montegretto zwrócił się więc do bogatej baletnicy, no i został narzeczonym, a może już i ślub wzięli i teraz w podróż poślubną się udają.

— To bardzo ciekawe, co mi pan opowiada, a zwłaszcza, że mnie ta para mocno zajęła. To dziwne. Czemu ten hrabia tak pospiesznie zamknął się w przedziale ze swoją towarzyszką? Wszyscy podróżni stoją w oknach, rozmawiają jeszcze ze znajomymi, patrzą na peron, a ci tak gonili, jakby się lękali, żeby ich kto nie zatrzymał. Czemuż owa pani tak gęstym pokryta welonem? Zupełnie, jakby się ukryć pragnęła przed wzrokiem ludzkim. Ten pański hrabia spiesząc do wagonu, spoglądał na prawo i lewo płochliwie, jakby się czegoś lękał. Hm! zobaczymy.

Aleksandrowicz postąpił ku wagonowi, do którego wsiadła podróżna para.

— Po co pan tam idzie?

— Chcę się przypatrzyć hrabiemu i zażądać od niego legitymacyi.

— Dajże pan spokój, możesz się narazić niepotrzebnie na nieprzyjemności.

— Prawo mi pozwala w pewnych razach w ten sposób postępować.

— Ależ zaręczam, że to hr. Montegretto.

— Wierzę panu, lecz pójdę.

Aleksandrowicz wszedł do wagonu, a że przedział był zamknięty, wezwał konduktora do otwarcia i stanął we drzwiach. Conte Alfonso drgnął, zmieszał się, co nie uszło uwagi Aleksandrowicza, ale w mgnieniu oka opanował się i spokojnie patrzył na przybyłego.

— W imieniu prawa, proszę pana o legitymacye.

— A to co? rzekł wyniośle conte Alfonso. Legitymacyi pan żąda odemnie? odemnie? to i zabawne i oburzające. Pochlebiam sobie, że mnie chyba zna cała Genua. Chyba nie wyglądam na zbrodniarza?

— Pan wybaczy, że spełniam tylko obowiązek służbowy.

— Zdaje mi się mój panie, że to nadużycie policyjne, o które wniosę zażalenie do ministerstwa.

— Ma pan do tego równe prawo, jak ja do żądania legitymacyi.

— Oto jest.

Wyjął paszport, wydany na wyjazd do całej Europy, na imię Alfonsa di Montegretto. Aleksandrowicz obejrzał, przypatrzył się hrabiemu i jego towarzyszce, poczem ukłoniwszy się uprzejmie, rzekł: „dziękuję“ i wyszedł. „Jazda“ — „odjazd“ — trąbka, stękanie lokomotywy, pociąg ruszył, Aleksandrowicz wrócił zamyślony do domu.

Był z siebie bardzo niezadowolony, paszport w porządku, a jednak coś mu szeptało, że hr. Montegretto uwozi z sobą tajemnicę zbrodni.

X.

Ofiara morderstwa.

Tego samego wieczoru, gdy conte Alfonso odjeżdżał z Eleną do Wenecyi, siedział Pietro Malebergo w „Osteryi“ i popijał wino czerwone. Był wielkim tego wina hołdownikiem. Ono mu krew czyściło i krwi dodawało, ono mu zaostrzało pamięć i dodawało rozumu, a nawet naprawiało mu serce dla narzeczonej i rozjaśniało zawiłe sprawy tego świata. Pietro gotów przysięgać, że to prawda. Cudowna to moc czerwonego wina. A najlepsze w „Osteryi“ u papy Giulia. O, już co do tego, to niktby go nie przekonał inaczej. Wypróbował dobrze. Porzucił wszystkie „madrony“ i został stałym, codziennym gościem papy Giulio. Siedzi za stołem, popijając wino, przypatruje mu się do światła, cmoka i duma, a duma nad tym, jakby to złowić zwierzynę, na którą Aleksandrowicz poluje.

Przy drugim stole zasiadło kilku robotników okrętowch. Narzekają na swą dolę. Ot, ludzka to rzecz; każdy narzeka, wszędzie dobrze, gdzie nas niema. Narzekają i płaczą na urzędników, na złą płacę, na cały świat, a im bardziej narzekają, tem więcej piją. Papa Giulio dobrze to pomiarkował, więc dodaje oliwy do ognia i co oni zaczną w narzekaniu ustawać, zręcznie naprowadzając rozmowę, podburza ich znowu na urzędników, a oni coraz więcej się zapijają i coraz to nową rozpoczynają butelkę.

W kącie siedział jakiś robotnik spokojny, cichy, zamyślony i czytał gazetę, nie zważając na gwarną rozmowę tamtych. Na ławie pod ścianą, spał sobie smacznie dość gruby człeczyna, brudny, zasmarowany, w lichej odzieży. Że spał, to nie dziwiło nikogo, bo to pospolita rzecz w Genui, a i we Włoszech wszędzie, iż w szynkach, na ławie, szukają nie tylko spoczynku, ale i noclegu, lub snu chwilowego, ci, którym do domu daleko, lub mieszkania nie mają, albo gdy ich alkohol do snu ułoży.

Pietro Malebergo nie temu się dziwił, że śpi na ławie gruby człeczyna, ale że na nim była cienka, czysta, zbytkowna koszula webowa, jakich ludzie biedni nie miewają. Wpatrywał się w śpiącego, a bardziej w kawał koszuli na gorsie. Ta koszula nie dała mu spokoju, więc uważał się, aby siedzieć tu dopóty, dopóki śpiący się nie zbudzi. Siedzi i siedzi i wina już chyba ma dosyć, a człeczyna śpi. Na szczęście robotnicy okrętowi tak już głośno i zajadle, po raz może dziesiąty, zaczęli na nowo na swą dolę, że papa Giulio uznał za stosowne nie podniecać już ich zapału, ale ich uspakajać. Pogniewali się o to i powiedzieli kilka niemiłych wyrazów papie, a nawet dwóch się podniosło, aby swe oburzenie plastyczniej okazać, ale nogi im się zachwiały, trzasnęli łbami o siebie i dalejże teraz do siebie przyskakiwać. Krzyk się zrobił, bójka zaczęła. Papa Giulio dbał o honor swej „Osteryi“, pijaków nie cierpiał, więc jednego za drugim za drzwi powyrzucał. Oczywiście, że ta akcya nie obeszła się bez opozycyi, więc papa Giulio użył argumentu pięści. Zgiełk, hałas, stół się wywrócił, dwie szklanki stłukły, papa Giulio klnie, no — i człeczyna się zbudził, zerwał na równe nogi i rozgląda przerażony, co się tu stało.

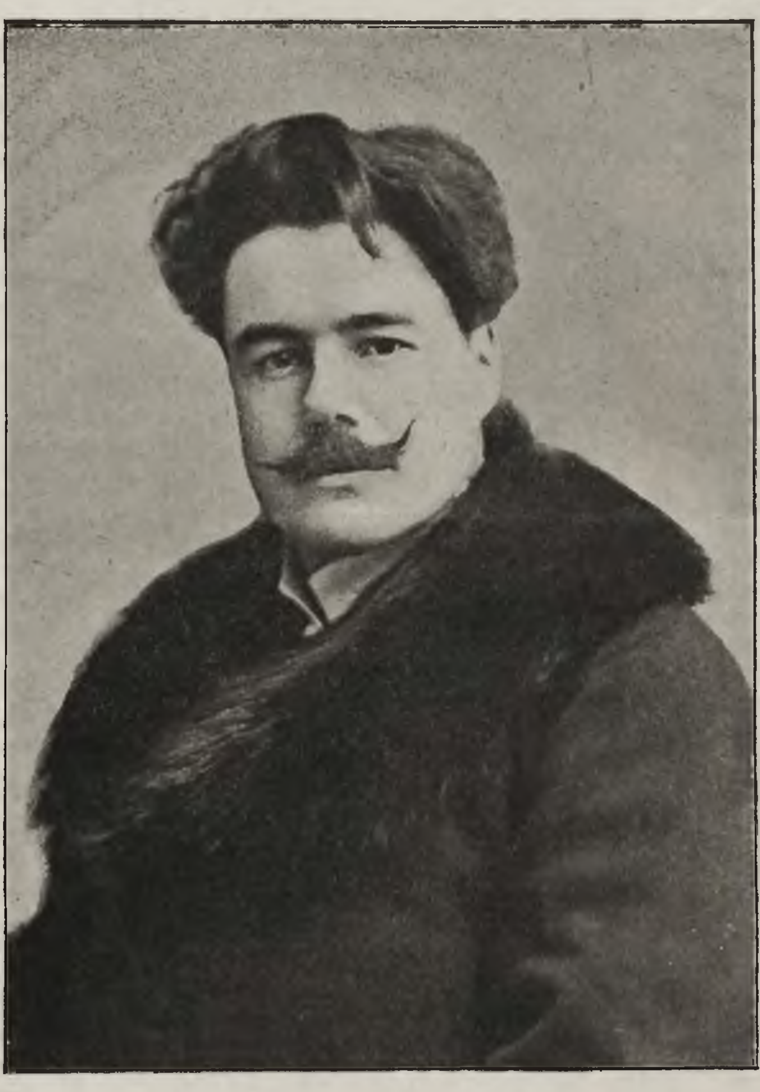
(Ciąg dalszy nastąpi).

Z muzyki.

Przez kilka ubiegłych tygodni nie pomieściły „Now. Illustrowane“ wzmianki o muzyce w Krakowie. Powodem do tego brak świeżego materyału. Popisywali się wprawdzie w tym czasie tacy skrzypkowie jak Burmester i Ysaye i pianiści tacy jak Friedmann i Szalitówna, lecz o artystach tych pisaliśmy już kilkakrotnie, podając ich podobizny, wartość tedy artystyczna tych książąt wirtuozeryi współczesnej jest znana Czytelnikom. Grał jeszcze w owym czasie pianista Eugeniusz d'Albert, jeden z największych i najwyżej cenionych dziś w Niemczech, lecz ani gra jego, ani artyzm nie przypadły do gustu melomanom krakowskim — a poirytowani byli wykonaniem utworów Chopina, którego d'Albert nie odczuwa i nie rozumie. Była to niemiła niespodzianka dla nielicznie zebranej publiczności, która w znacznej części opuściła salę koncertową przed ukończeniem programu.

Miłą natomiast niespodzianką był koncert urządzony staraniem Tow. Szkoły ludowej, koncert pianistki p. Wandy Tybergowej, artystki cieszącej się uznaniem i sympatyą w sferach muzycznych Wiednia, gdzie rodaczka ta nasza, wraz z mężem swym, wybitnym skrzypkiem, od lat kilkunastu zajmuje poważne stanowisko — oraz młodego, wysoce utalentowanego wiolonczelisty opery wiedeńskiej p. Willema Willeke. Oba nazwiska nie ciągnęły krakowskich melomanów, jako mało znane w Krakowie, gdzie melomani wskutek braku informacyj w pismach codziennych, jak niemniej wskutek braku pisma muzycznego, nie wiele wiedzą i interesują się tem, co się dzieje poza rogatkami Krakowa, a komunikatem obliczonym na łatwowierność czytelników przeważnie słusznie nie ufają. Garstka tych słuchaczy, którzy radzi słuchać dobrej muzyki, a nie tylko usłyszeć i zobaczyć artystę, była mile zawiedzioną, przekonawszy się, iż p. Wanda Tyberg jest pianistką niepospolitą, godną stanąć w rzędzie najwybitniejszych pianistek współczesnych — artystką rozporządzającą zarówno siłą jak i miękkością i pieściwością uderzenia, zarówno muzykalnością, jak umuzykalnieniem, zarówno doskonałą, równą i pewną techniką, jak pełnem artystycznej kultury ujęciem utworów — słowem. artystka, którą słuchało się z prawdziwą satysfakcyą i pożytkiem. P. Willem Willeke (oto jego portret) wiolonczelista, przedstawił się równie jak najsympatyczniej. Artysta młody, wysoce uzdolniony i poważny, wypowiada się jasno i zrozumiale. Daleki od szukania efektów niewchodzących w zakres swego instrumentu, ujmuje pięknym, aksamitnym tonem swej wiolonczeli o charakterystycznym, cichym dźwięku starych wiolonczel włoskich, tonem, który acz cichy i niepełny, brzmi rozlewnie w sali, pieszcząc lubym dźwiękiem słodkiego pianissima. P. Willeke wywarł bardzo korzystne wrażenie i za utwory, które odtwarzał z wielką muzykalnością i zrozumieniem, przy użyciu dobrze ustawionej a ze smakiem używanej, niezawodnej i doskonałej techniki — zbierał huragany oklasków. P. Willeke, Holender rodem (urodzony $^{29}/_{9}$ 1878 w St. Gravenhage) kształcił się u znakomitego wiolonczelisty-pedagoga prof. Eberlego w konserwatoryum rotterdamskiem. Koncertując od lat 13 w Europie, zdobywał wszędzie aplauz publiczności i nader pochlebnie o jego kunszcie świadczące, oceny krytyczne. Od lat czterech zajmuje stanowisko pierwszego wiolonczelisty opery w Wiedniu, którego arystarchowie krytyki nie szczędzą mu nigdy słów uznania.

—urs.—



Willem Willeke.

Z lwowskiego bruku.

(Kompromitacya władz sądowych a ruska głodówka. — Tryumf magistratu lwowskiego. — Zaczepki opozycyonistów a obrona r. Mokrzyckiego. — Nudy w Sejmie. — Elegancki złodziej-symbolista w stroju myśliwca. — Nasza wyższość złodziejska. — Złodziej pomaga szukać. — Bolesna niespodzianka: wyjazd Wandy Siemaszkowej.)

Ruscy akademicy przy pomocy strejku głodowego odnieśli zwycięstwo nad wszystkiemi instancyami sądu lwowskiego, a wypościwszy się przez trzy dni, wyszli z więzienia witani okrzykami i kwiatami. Cała ubiegła niedziela była jedną wielką demonstracyą ruską, a zarazem dzień ten był, zdaniem dzienników — dniem niesłychanej kompromitacyi lwowskiego sądownictwa, skandalem o europejskim rozgłosie.

Jeżeli jednak sąd lwowski w sprawie akademików ruskich skompromitował się gruntownie, to inna władza odniosła w tym tygodniu tryumf prawdziwy. Mówię o lwowskim magistracie. Próbowali dwaj radni z opozycyi dr. Aschkenase i redaktor Laskownicki przy sposobności omawiania budżetu targnąć się na dotychczasową gospodarkę magistratu, krytykując prezydyum i jego rządy. Nie podobała im się drożyzna powszechna, ani wieczne brudy miasta, ani pogrzebany zakład pogrzebowy miejski i pogrzebanie innych spraw — słowem, czepiali się p. prezydenta, nazywając całą akcyę magistratu — humbugiem. Na to ni stąd ni zowąd powstał p. radny Mokrzycki, z zawodu rzeźnik, ale mowca i humorysta omal, że nie europejskiej sławy i zażądał głosu dla „sprostowania faktu“. Proszono go. aby dał spokój, ale uparł się, że musi jakiś fakt sprostować, a że wiedziano, iż już p. Mokrzycki nie podaruje swego i musi się wywnętrzyć, skoro raz głosu zażądał, pozwolono mu mówić. Wyrznął więc p. Mokrzycki mowę krótką, ale dosadną, rozbawił całą Radę, czem oczywiście pozyskał wszystkich na swoją stronę. Podniósł w swej mowie, że bardzo dobrze się stało, iż we Lwowie nie założono jatek miejskich, bo np. we Wiedniu, gdzie takie jatki istnieją, powodzi im się tak źle, że aż sam burmistrz dr. Lueger rozchorował się ze zmartwienia, a może nawet umrze. Radni ryczeli.

Gdy jeszcze p. Mokrzycki odparł zarzut uczyniony „kasie mięsnej“ twierdząc, że jest ona bardzo dobrą, bo „daje rzeźnikom dużo pomocy“, wesołość doszła do zenitu i radni opuścili bezzwłocznie salę, trzymając się za brzuchy. Ma się rozumieć, że tryumf magistratu był po tej mowie zupełny.

Mniej trynmfu jest do zanotowania ze Sejmu, gdzie panują niesłychane nudy, bo nie odzywa się ks. Stojałowski, a nawet prawie nie widać go na sali. Nudne czytanie wniosków, nudne uzasadnienia, nudne głosowanie — więc nic dziwnego, że jakaś dama w loży zemdlała z powodu nudów i — zbyt ciasnej sznurówki. Zapowiadają się jednak interesujące sceny na później i zdaje się, że posłowie już ostrzą sobie języki. Na razie tylko w bufecie.

Wogóle panują w mieście wielkie nudy pokarnawałowe, a gdyby nie kilka niby - sensacyjnych faktów, możnaby z nudów umrzeć. Do tych należy wspomniana na początku sprawa ruska i wynoszenie niechcących opuścić więzienia akademików, a wreszcie elegancka, czy wykwintna kradzież 18.000 koron w papierach wartościowych na poczcie.

Już kilkakrotnie pisałem, że jeżeli w której dziedzinie zasługujemy na nazwę stołecznego miasta, to przedewszystkiem w dziedzinie kunsztu złodziejskiego. Nasi złodzieje, to ludzie myślący, to dyplomaci, odznaczający się niezwykłą elegancyą, a nawet dystynkcyą i gardzą środkami prostymi. U nas wyszły już nawet z mody wytrychy. Dowodem tej elegancyi złodziejskiej jest ostatnia kradzież na poczcie. Wchodzi sobie jakiś młody pan, nawet nie przebrany za kapitana, ale w stroju o wiele odpowiedniejszym, bo myśliwskim. Jest to pomysł na wagę złota. Na polowanie idzie się w stroju myśliwskim. W tem dowód, że nasi złodzieje są symbolistami. Wchodzi i mówi, że pragnie się widzieć z jakimś panem Łozińskim. Woźny idzie patrzeć, czy jest p. Łoziński i wraca z oznajmieniem, że go niema. I już. Myśliwiec mówi „niestety“ i odchodzi. On już upolował swoje bez wytrychu, bez włamania, bez latarki. W biały dzień wszedł, wyekspedyował woźnego, podważył nożyczkami „blat“ biurka, wyjął papiery i poszedł. Jeszcze mu woźny drzwi otworzył. Proszę mi powiedzieć, czy to nie jest szczyt elegancyi złodziejskiej? Na punkcie złodziei jesteśmy stanowczo wielkiem miastem. Nasi złodzieje mają nie tylko spryt w kradzieży, ale i po kradzieży. Złodzieja z Banku krajowego dotychczas nie znamy. Policya robiła rozpaczliwe wysiłki i miała już stu podejrzanych, ale tylko sam złodziej dotąd nie jest w podejrzeniu. Już stracił zdobyte pieniądze i rozgląda się za innemi. Tak samo będzie prawdopodobnie z tym pocztowym myśliwym. On teraz pomaga szukać policyi złodzieja. Wobec tego można być pewnym, że doniesienia dzienników, że „już są na tropie złodzieja“ nie są wcale mylne. Jeden z szukających zna złodzieja. Mianowicie sam złodziej. Ale on go nie wyda.

Z nowin teatralnych mam do zaznaczenia „zakończenie występów Wandy Siemaszkowej w teatrze miejskim“ — jak powiada komunikat teatru ludowego — i „rozpoczęcie gościnnych występów na scenie teatru ludowego w większych miastach prowincyonalnych“. Otóż ta bolesna nowina jest prawdziwą niespodzianką dla całej falangi gorących wielbicieli niezrównanej heroiny naszego teatru. Nigdy nie słyszeliśmy, żeby p. Siemaszkowa była u nas obecnie tylko na występach. Była bowiem stale zaangażowaną i jako taka była dumą i chlubą lwowskiego teatru. Widywało się ją na scenie dość rzadko, ale miło się nadzieję, że wkrótce repertuar tak się ułoży, że można będzie podziwiać wielką artystkę częściej.

Tymczasem słyszymy o „ukończeniu występów“. Nie miałem jeszcze czasu sprawdzić, czy p. Siemaszkowa istotnie usunęła się ze sceny lwowskiej, czy też tylko przerywa na czas krótki swój pobyt. Jeżeliby jednak prawdą było, że p. Siemaszkowa opuszcza na stałe lwowską scenę, to będzie to dla publiczności lwowskiej bardzo bolesną nowiną. Tyle mówiono i pisano o tem, że należy koniecznie pozyskać znakomitą, największą dziś artystkę polską dla sceny lwowskiej na stałe, a gdy to się nareszcie udało...

Nie chcemy nawet przypuszczać, żeby sprytny dyrektor, umiejący cenić swoje klejnoty, mógł dopuścić do czegoś podobnego i wyrażamy nadzieję, że „szalona Julka“ po krótkiej wędrówce prowincyonalnej powróci do Lwowa witana, jak zawsze, z zachwytem, z należnym jej entuzyazmem miłośników wielkiej, prawdziwej sztuki... Co oby nastąpiło jak najrychlej!

O włoskiej operze dziecięcej, która we czwartek rozpoczyna tu swój cykl pięciu oper, napiszę w najbliższym liście.

Kl.

WŁADIMIROW.

Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

2

To pytanie męczące świdrowało ich mózg.

W tem baron Budberg uczuł na sobie spojrzenie jednego z aresztantów i gdy oczy ich spotkały się, poznali się wzajemnie.

Uwięziony odrazu domyślił się, dlaczego jego towarzysz przebrał się w uniform żandarmski i dokąd ich teraz powiozą. Spotykał się z nim dawniej w polskiej partyi socyalistycznej, gdzie wspólnie pracowali.

Radość niedoopisania odbiła się mimowoli na twarzy więźnia i bar. Budberg wyczytał w jego oczach tak bezgraniczne poddanie się i wdzięczność, że zląkł się o pomyślny wynik całej sprawy.

Z miejsca też odwrócił się do niego plecami i żeby dozorca więzienia nie zauważył błogiego, pełnego szczęścia wyrazu twarzy aresztanta odezwał się do dozorcy w tonie ostrym i rozkazującym, czyniąc surową uwagę za powolność wyprawiania aresztantów, poczem skierowali się do wyjścia.

Dozorca zląkł się, zaczął gorączkować i z kolei, gdy groźny rotmistrz wyszedł z kancelaryi, wpadł z gniewem na strażnika więziennego i zmył mu głowę porządnie. Wyszedłszy na ganek, rotmistrz spotkał się ze starszym strażnikiem więzienia i krzyknął surowo:

— Pospieszyć! Wyprowadzajcie aresztantów!

To rzekłszy, wyszedł na podwórko zobaczyć czy przygotowaną została karetka więzienna i czy wszyscy policyanci są na miejscu. Tu odetchnął pełną piersią, wciągając głęboko świeże powietrze nocne i tem uspokoił nieco nerwy.

Cisza nocy, panującej na wszystkiem dodała mu energii i nadziei w pomyślne zakończenie niebezpiecznej imprezy. Kareta stała już przed gankiem. Tu też znalazł on swoich, niby to drzemiących, policyantów.

— Baczność! do szeregu — zakomenderował.

Policyanci odrazu zerwali się na nogi i wyciągnęli klinem między gankiem a drzwiami karety, w ten sposób, żeby żaden z więźniów nie mógł uczynić nawet próby ucieczki.

Wytworzyła się sytuacya interesująca w wysokim stopniu: ludzie ci przybyli do więzienia, żeby swoich towarzyszy, uwolnić lecz jednocześnie, znając wybornie psychologię aresztantów, musieli wytężyć uwagę, żeby który z nich nie spróbował uciec lub nie okazał zbrojnego oporu, gdy będą wprowadzali ich do karety.

Najzwyklejsze to zjawisko w życiu więziennem — ucieczka w czasie przewożenia — mogła zepsuć całą sprawę, rozpaczna determinacya którego z nich, mogła przeszkodzić wróceniu im wolności.

Zabezpieczywszy wszelkie środki ostrożności, rotmistrz powrócił do kancelaryi, dokąd przeprowadzono już wszystkich więźniów w liczbie dziesięciu. Obejrzał on ich uważnie i raz jeszcze oczy jego spotkały się z wejrzeniem towarzysza, doskonale pojmującego teraz ostateczny cel mistyfikacyi.

Dyżurny w więzieniu, Macinlewicz, zwrócił się do rotmistrza z następującą propozycyą:

— Panie rotmistrzu, trzeba zwiększyć pański konwój, ja dam moich ludzi. Mam straż konną.

Na tę propozycyę Budberg niepryjemnie się zasępił, lecz zdobył się w odpowiedzi na ton miękki:

— Nie, nie potrzeba! moi chłopcy są ludzie pewni... ufam im... wszystko zuch... Dopełnij pan przeglądu aresztantów w mojej obecności... tylko prędzej.

Macinlewicz zaczął wywoływać nazwiska więźniów z listy.

Ta rozmowa o wzmocnieniu konwoju wywarła fatalne wrażenie na niektórych więźniach, którym wydało się, że istotnie powiodą ich na kaźń.

Baron Budberg, widział, jak jeden z nich, w przekonaniu, że go niebawem rozstrzelają, zbladł trupio i drżącemi rękami zbierał swe rzeczy, ręce jego tak się trzęsły, że w żaden sposób nie mógł związać dwóch książek i woreczka z cukrem. Żal było patrzeć na niego, lecz mimo to nie można było dodać mu otuchy.

Po sprawdzeniu, baron Budberg pokwitował z otrzymania więźniów i gdy położył już swój podpis, rzucił obsadkę na podłogę, czyniąc gniewną uwagę, że pióro było niemożliwe. Dyżurny tak wziął to do serca, że zaczął łajać starszego dozorcę od ostatnich, nie zważając nawet na obecność rotmistrza. Ten dołożył jeszcze i od siebie, gromiąc go surowo, że bez względu na jego rozkaz zbyt długo marudził z jednym z aresztantów.

Otrzymawszy tyle surowych napomnień, starszy dozorca zupełnie stracił głowę i znikł z oczu zwierzchników, a tymczasem zaczęto wyprowadzać więźniów na ganek.

W ostatniej chwili dyżurny Macinlewicz, nie należąc widocznie do ludzi zbyt odważnych, znów wystąpił z propozycyą:

— Panie rotmistrzu, niech pan nie naraża siebie na nieprzyjemne wypadki w drodze. Wszystkiego można oczekiwać. Radzę, żeby pan przybrał jeszcze straż konną. Dla mnie nie sprawi to najmniejszej trudności... ludzie w tej chwili będą gotowi.

— Wszekże już raz panu powiedziałem, że nie potrzebuję konwoju — odparł rotmistrz opryskliwie — dlaczego więc pan mnie nudzisz? Moi chłopcy to zuchy i żadnej pomocy nie potrzebują.

Macinlewicz, umilkł, poczuwając się do winy, że ośmielił się dwukrotnie niepokoić rotmistrza swemi obawami.

VIII. Porwanie więźniów.

Kiedy pierwsi aresztanci się ukazali na ganku, starszy policmajster zakomenderował:

— Obnażyć szable!

Policyanci przysunęli się ciaśniej do otwartych drzwiczek karety, z obnażonemi szablami. Starszy policyant wprowadzał każdego po kolei do karety i pedantycznie spełniał wszelkie możliwe ostrożności, w tych wypadkach przepisane. Kareta więzienna, zaprzężona w parę koni, składała się z dwóch części, przedzielonych jedna od drugiej przegrodą w drzwi opatrzoną.

W pierwszej części, bliżej woźnicy, umieścili sześciu więźniów, poczem starszy policyant zatrzasnął drzwi wewnętrzne i zamknął je na klucz. Pozostawało umieścić jeszcze czterech do drugiego przedziału karety, bliżej drzwi zewnętrznych.

W tej chwili na ganku ukazał się aresztant Judycki, który znany był w więzieniu jako człowiek opętany manią ucieczki. Wykonał on już raz próbę lecz nieudaną, w tym czasie, gdy go prowadzono na śledztwo do sędziego śledczego.

Jego pragnienie zrzucenia z siebie kajdan więziennych było tak wielkie, tak gorąco i szalenie rwał się do wolności, że stracił głowę i nie zdawał sobie sprawy, że próba ucieczki, gdy szedł przez miasto pod konwojem, nie miała żadnych szans powodzenia, rzucił się też do ucieczki bez opamiętania, lecz natychmiast był pochwycony przez konwój i okrutnie zbity. Bili go wtenczas bezlitośnie, z okrucieństwem, wymierzając na nim całą wezbraną w nich złość za szaloną próbę ucieczki.

I oto teraz na ganku ukazała się jego nieszczęsna pokaleczona figura, z zaciekami krwi na twarzy. Na jedną sekundę zatrzymał się on i rozejrzał jak zwierz osaczony, jakby kombinując, w którą stronę rzucić się, czy nie ma gdzie jakiej niewidzialnej szczeliny, żeby z całą rozpaczą człowieka zdecydowanego na wszystko, skoczyć tam; śmierć w walce była wyjściem najlepszem i najbardziej upragnionem.

Starszy policyant odrazu odgadł jego zamiary i groźnie krzyknął:

— No, no... dokąd?... Nie „ujdziesz!“

To rzekłszy, pochwycił go za kołnierz i wepchnął do karety.

Dyżurny pomocnik naczelnika więzienia, stojący w tym czasie na ganku i przyglądający się w milczeniu tej scenie, bezwiednie pomyślał, że istotnie nie potrzebują oni dodatkowego konwoju, później jednak, gdy ucieczka została ujawniona, Macinlewicz, opowiadał, że gdy zobaczył, jak policyanci wypełniali swe czynności i jak starszy z nich załatwiał się zręcznie z Judyckim, zdradzającym zamiary ucieczki, wówczas błysła mu myśl, że nie są to prawdziwi policyanci z surowej szkoły policyjnej, lecz udani, którzy przybyli tu, żeby go tak fatalnie urządzić...

Gdy starszy policyant umieścił w karecie już wszystkich aresztantów, na rozkaz rotmistrza, który w tej chwili wyszedł na ganek, polecił jednemu z policyantów wsiąść do karety i zamknąć za nim drzwi poczem rozkazał dwóm innym usiąść na kozioł przy woźnicy, a sam z dwoma pozostałymi zajął miejsce z tyłu powozu.

W tej chwili brama roztworzyła się, kareta więzienna wyruszyła na ulicę i skręciła na prawo od bramy.

Budberg pożegnał się wówczas z Macinlewiczem, wyszedł za bramę i wsiadłszy w dorożkę, odjechał.

Jego rola była skończona.

Wypełnił on ją z nadzwyczajną precyzyą i spokojem, jak to mógł uczynić człowiek, działający w imię idei, całą duszą oddany na jej usługi, niepomny na własne „ja“, na własną pomyślność i szczęście.

Na tem, zdawało się, zakończyły się główne i najbardziej niebezpieczne momenty przedsięwzięcia. Uciekinierzy znajdowali się już poza więzieniem, chociaż w zamkniętej karecie więziennej, na której koźle siedział w charakterze woźnicy — stróż więzienny.

Baron Budberg już powrócił do domu, gdzie przez nikogo nie zauważony przebrał się po cywilnemu i najspokojniej siedział w przyjacielskiej kompanii, opowiadając swym towarzyszom najdrobniejsze szczegóły wyprawy nocnej.

IX. Ucieczka

W istocie jednak, dopełnioną była tylko pierwsza połowa skomplikowanego i trudnego przedsięwzięcia, pozostawała druga, chociaż mniej niebezpieczna, bądź co bądź ryzykowna operacya pozbycia się ajenta policyjnego, który, przy najmniejszem podejrzeniu, mógł w każdej chwili wszcząć alarm i popsuć całą sprawę.

Wszędzie po ulicach snuły się patrole wojskowe, przy pomocy których łatwo było udaremnić ucieczkę, tak pomyślnie dokonaną z murów więzienia.

Wszystko teraz zależało od umiejętności i przytomności umysłu starszego policyanta.

Lecz w jaki sposób uwolnić się od tego niepożądanego świadka na koźle?

W jego rękach lejce, on kieruje karetą... A chociaż na razie nie zwrócił uwagi na to, że kazano mu jechać w przeciwnym od cytadeli kierunku, motywując to koniecznością wstąpienia uprzednio do 3 cyrkułu, mógł jednak w każdej chwili odgadnąć mistyfikacyę i oddać wszystkich w ręce władzy.

Zadanie ciężkie i trudne... Wymagało ono przytomności i odwagi...

Wielkiem utrudnieniem była ta okoliczność, że stracono zbyt wiele czasu wewnątrz więzienia i że świt się przybliżał.

Pierwsze przebłyski budzącego się ranka już się wyczuwały w powietrzu i snuły w mgle na poły przezroczystej, otaczającej kontury przedmiotów.

Nie można już było tracić czasu...

Oto już niedaleko ów cyrkuł, muszą koniecznie zawrócić w drugą stronę.

Za chwilę, być może zostaną zdemaskowani, o ile nie uda im się pozbyć woźnicy więziennego.

Chwila stanowcza nastąpiła... należało działać.

I oto, nagle, dał się słyszeć głośny krzyk starszego policyanta:

— Stó—ój... Koło!...

Ten niezrozumiały okrzyk wywołał jednak wrażenie, woźnica odrazu wstrzymał konie, nie pojmując co mogło się stać; siedzący obok niego pseudo-policyant zeskoczył z kozła, a za jego przykładem poszedł i woźnica, oddawszy lejce drugiemu policyantowi, poczem, obydwaj podeszli do tylnego koła, w pobliżu którego stał starszy policyant, nader uważnie przypatrując się czemuś. Gdy tamci podeszli, starszy policyant, wskazując na oś, powiedział:

— Patrz, patrz, co się zrobiło?

Ten z kolei nachylił się i mocno wyciągnął się ku przodowi, usiłując rozpatrzeć się w tem, na co mu wskazywał policyant.

I w tej to chwili, naraz, z obydwóch stron pochwyciły go dwie pary silnych rąk; momentalnie zatkano mu chustką usta, żeby nie mógł krzyczeć, poczem podniesiono go do góry i bez najmniejszego hałasu, bez jakiejkolwiek walki, wsunięto go do wnętrza karety więziennej i złożono na ręce siedzących tam czterech aresztantów i jednego z pseudo-policyantów.

Tam nakazano mu, żeby leżał spokojnie i nie próbował uczynić nic takiego, co mogłoby im zaszkodzić, gdyż momentalnie go zasztyletują.

Woźnica przyjął to naturalnie do wiadomości bojąc się nawet oddychać.

Ze strachu dusza uciekła mu w pięty...

X. W karetce więziennej.

Nigdy przedtem, we wnętrzu tej ciemnej, dusznej karety więziennej nie wyczuwały się tak ostre wrażenia i emocye duchowe, jak owej nocy.

Zaledwie kareta wyruszyła wolno w drogę i znalazła się za bramą więzienia, policyant, zwracając się do aresztantów, powiedział:

— Towarzysze!... Czy poznajecie nas? Nie upłynie kilka minut, a będziecie wolni... Winszuję wam!

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Rezygnacya.

HUMORESKA.

Gdym wynajął na przedmieściu dworek z ogrodem, wszyscy sąsiedzi natarczywie radzili mi prowadzić gospodarstwo domowe. Natarczywie radzili, abym chował krowy, gołębie, kury, indyki i świnie. Zwłaszcza za świnią głosowali. Tłumaczyli mi, jakie świnia daje zyski, udowodnili z ołówkiem w ręku, że niesie ona sto procent zysku. Tłumaczyli, że Serbia żyje ze świń, że głównym budżetem wielkiej własności galicyjskiej są świnie. Piorunowali na niepraktyczność naszą, na chorobliwą poezyę, wykazywali jak na dłoni niedorzeczność idyosynkrazyi, jaką w nas budzi sama świnia i wyraz świnia. Dałem się namówić. Kupiłem na jarmarku świnię za trzydzieści koron. Magistrat w myśl przepisów weterynaryjno-policyjnych wciągnął w swe książki moją świnię. Koncertowała ona w chliwie z pół roku. Po tym terminie wpadł do mnie mój sąsiad.

— A widzi pan? Nie mówiłem?

— Co pan mówiłeś?

— Mówiłem, że pan zrobisz na świni doskonały interes.

Wytrzeszczyłem oczy na mówiącego.

— Jakiż ja interes zrobiłem?

— Teraz są świnie bardzo drogie.

— No to cóż z tego?

— Pojutrze jarmark, wypędź pan gadzinę i sprzedaj. Zarobisz pan sto procent.

— Uczynię to.

— Ale ostrzegam pana abyś na tym jarmarku świnię sprzedał. Bo potem będzie gorzej. Bo o ile teraz poszły w górę, o tyle potem szalenie w cenie spadać będą.

Podziękowałem sąsiadowi za jego rady i zastosowałem się do nich. Postanowiłem sprzedać. Sprzedać! Ty wielkomiejski obywatelu myślisz, że to łatwo świnię sprzedać!? I ja byłem w takim samym błędzie. Wyprowadzono mię z błędu w sposób straszny.

Naprzód musisz pan iść do weterynarza, aby dał świni kolczyk. Potem pójdziesz pan do likwidatury miejskiej kupić kwit. Kwit podpisze kasyer i weterynarz. Od weterynarza pójdziesz pan z kwitem do oficyała magistratu. Ten wystawi dla świni paszport....

— Ależ ta świnia nie pojedzie za granicę.

— Za granicę nie pojedzie, ale na jarmark pójdzie.

Byłem pełen goryczy i strachu. Ale cóż robić. Trzeba się poddać konieczności. Zaprowadziłem świnię do weterynarza. Ten ją długo badał. Rzekł wreszcie:

— Nie mogę tej świni dać kolczyka.

— Czemu?

— Ta świnia jest chora. Ma koklusz.

— Co? Koklusz? Ależ ona wcale nie kaszle.

— Ja wiem, że nie kaszle. Koklusz świński nie mieszka wcale w gardle.

— Gdzież mieszka?

— W racicach. Ta świnia ma koklusz w racicy prawej.

Zamyśliłem się. Mówię do weterynarza.

— Tem lepiej, że ma koklusz. Z tem większą radością się jej pozbędę.

Spojrzał na mnie groźnie miejski weterynarz.

— Nie panie. Pan się jej nie pozbędziesz.

— Dlaczego?

— Chorej świni sprzedawać nie wolno.

Byłem zdruzgotany. Poznał się na mej rozpaczy weterynarz. Rzekł łagodniej:

— Pociesz się pan. Na ten jarmark świni wypędzić panu nie pozwolę, ale w przyszłym jarmarku pan na pewno ją sprzedasz. Może ceny za dwa tygodnie nie spadną. A świnia będzie już zdrowa. Koklusz jest chorobą lekką. Za tydzień wyzdrowieje.

Rzekłem pesymistycznie:

— A jeśli ten koklusz z racicy prawej przeniesie się do lewej?

— Bądź pan spokojny. Nie przeniesie się.

Poszedłem uspokojony do domu. Czekałem na drugi jarmark dwa tygodnie. Przed jarmarkiem zaprowadziłem świnię znowu do weterynarza. Ten ją długo badał.

— Niedobrze jest panie.

— Cóż się stało?

— Ta świnia jest chora.

— A co! — zawołałem tryumfalnie. — Nie mówiłem, że koklusz przeniesie się racicy prawej do lewej?

— Świnia nie jest chora na koklusz.

— Na cóż więc?

— Ma astmę na tle sercowem.

Byłem wściekły. W żyłach moich nie płynęła krew, ale czysta ironia. Ironia i jad szatański. Mówię z piekielną siłą przekonania:

— W błędzie pan jesteś, panie weterynarzu!

— Co?! Zarzucasz mi pan fałszywe postawienie dyagnozy?

— Tak jest. Ta świnia nie jest chora na astmę. Ja wiem, na co jest chora.

(Dokończenie nastąpi).

Kosmetyka.

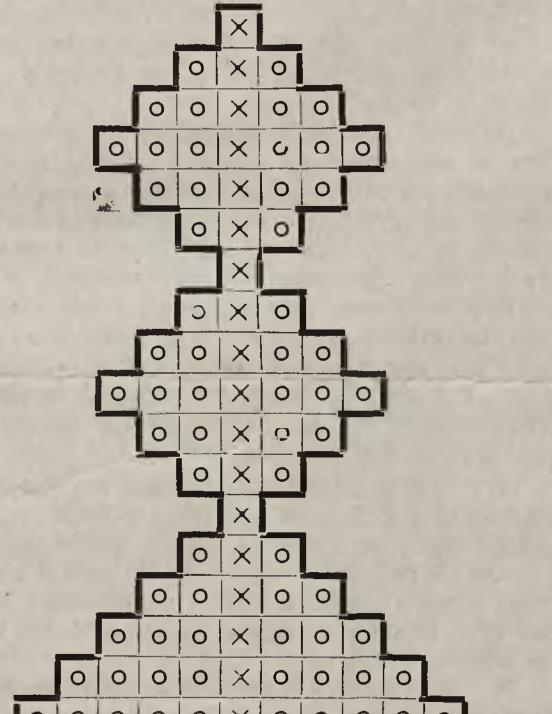
Od czterech miesięcy wvchodzi w Warszawie nowy tygodnik specyalny, jakiego nie bvło jeszcze w polskiej prasie fachowej. Jego tytuł najlepiej określa rodzaj czasopisma, a brzmi: »Kosmetyka«. Na wstępie zaraz zaznaczyć trzeba, że nie wydaje go bynajmniej w celach spekulacyjnych firma przedsiębiorstwa toaletowego dla szumnego reklamowania swoich preparatów perfumeryjnych, ani nie wydaje go sprytny blagier dla popierania wyłącznie szarlatańskich fabrykatów uniwersalnych »na wieczną młodość i piękność«. Przeciwnie, nowy ten tygodnik, jedynie racyonalnej poświęcony kosmetyce i zajmujący się hygieniczną estetyką ciała ludzkiego, wydaje i redaguje lekarz znany i poważany, dr. H. Zamenhof w Warszawie, przy współpracownictwie również znanych lekarzy, specyalistów, zbrojnych nietylko w teoryę, zdobytą w ogniskach wiedzy uniwersyteckiej, lecz także w praktykę, opartą na rozległej klijenteli. Takie więc pismo jest tylko wyrazem istotnych potrzeb naszego ogółu. Kosmetyka bowiem w ostatnich latach znaczne zrobiła postępy, a dzięki dermatologom, hygienistom i chemikom, weszła na drogę naukową i dzisiaj jako odrębna gałąź wiedzy lekarskiej, zyskała prawo obywatelstwa w medycynie. Jednocześnie sztuka kosmetyczna doszła do wysokiego stopnia rozwoju i stanowi ważny odłam przemysłu, który jednak, niestety, nie zawsze pozostaje w ręku osób kompetentnych i sumiennych. Tymczasem kwestya kosmetyków, ze względu na ogromne ich rozpowszechnienie, ma doniosłe dla zdrowia ludzkiego znaczenie. Zadaniem tedy pisma wspomnianego jest zaznajamianie szerszego ogółu z różnego rodzaju kosmetykami, wykazywanie ich szkodliwości, zabezpieczenie od wyzysku, kształcenie zmysłu estetycznego przez rozpowszechnianie zasad racyonalnej kosmetyki i estetyki ciała, opartych na podstawach anatomji, fizyologii, chemii i hygieny. Istotnie znajdujemy w piśmie obfity i zajmujący, illustrowany materyał z takich działów, jak: hygiena skóry i włosów, zębów i jamy ustnej, zapobieganie chorobom skóry i włosów, leczenie tych chorób, pielęgnowanie cery, pielęgnowanie urody i rozwoju pięknych kształtów ciała, zapobieganie szpecącym ciało chorobom itp. Artykuły mimo stanowiska naukowego autorów, są popularne i przystępne dla wszystkich, pouczające, toteż niewątpliwie warszawski ten tygodnik z powodu niskiej ceny rozpowszechni się wśród kobiet i mężczyzn we wszystkich dzielnicach polskich, jako pismo zarówno zajmujące, jak pożyteczne, a świetnie redagowane. W pierwszym rzędzie zwracają na siebie uwagę świetne i śliczne artykuły różnorodne tak powszechnie cenionego specyalisty, jakim jest dr. L. Luster w Krakowie.

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożył Alfred Rotter.

Gwiardki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób by litery wstawione w misjsce krzyzyków utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Miasto w Arabii, święte u muzułmanów. 4. Kraj na półwyspie Bałkańskim. 5. Imię męskie węgierskie. 6. Okres czasu. 7. Samogłoska. 8. Wykrzyknik. 9. Miasto w Czechach. 10. Grobowce słynnych ludzi Paryz-Rzym 11. Rzeka we Francyi. 12. Miara do płynów w Rumunii Oka. 13. Samogłoska. 14. Wulkan w Azyi (Filipiny). 15. Naczelnik rzymski z czasów Chrystusa. 16 Nauka w kościele. 17. Organ beópieczeństwa publicznego. 18. Miasto w Egipcie.

Łamigłówka.

Ułożył T. Domain Kołomyja.

Z wyrazów: »Kalikst piąty orze cudzę i jus« utworzyć nazwę jednej »Instytucyi dobroczynnej« we Lwowie.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy **»Żerowisko«** Bajorasa.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7.

Logogryf zgłoskowy.

lampo**l O**tworn**ce**, **z**ajaz**d**, **e**pole**ty**, **f**izylie**r**, **B**uzdyga**n**, **R**amajan**a**, **A**penin**y**, **n**osoroże**c**, **d**i**u**. **t**rybuna**ł**,

Józef Brandt — Lucyan Rydel.

Logogryf.

Z	u	l	u	s
A	**p**	o	l	e
b	r	**o**	d	a
k	r	o	**w**	a
w	i	l	k	**i**
b	r	o	**n**	a
P	a	**s**	e	k
c	**z**	a	r	t
O	s	a	k	a
Ś	**w**	i	a	t
D	r	**a**	w	a
R	ó	w	**n**	o
b	e	l	k	**i**
c	z	ł	**e**	k
l	a	**m**	p	a
a	**n**	t	y	k
O	k	t	a	w
a	**w**	i	z	o
C	r	**e**	c	y
O	n	e	**g**	a
K	o	w	n	**o**
c	z	a	r	a
w	r	**o**	n	a
u	**k**	r	o	p
U	r	b	a	n

Z powinszowaniem Nowego Roku.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: E. Eogdalska Koropuż, T. Domain Kołomyja, Marya Świtlikowa Rzeszów. Z. Pieszkiewicz Kołomya, A Majewicz Kraków, B. Ramułtowa, St. Gajdeczka Seniawa, Fr. Niepokój i Tow. »Zgoda« Krosno, Dr. Warmski Turka, A. Pukalski Andrychów, B. Bocsoń Bóbrka, Wł Hałdriński Lichwin, Dr. Jan Kasparek Lwów, Marya Arbesbauer Lwów, Helena Zielińska Manajów, Karol Ludwig Borysław, E. Byszewski Kraków, Solik Lwów, K. Szpunar Lwów, W. Łapasiński Lwów, Jan Wójcik Lwów, J. Scheftel i Ina Terich Lwów, Michalina Grabowska Milówka, Wł. Czerkawski i St. Stupnicki Przeworsk, St. Łaszkiewicz Debica, St. Libelt Wolanka, Jan Haładej Górki, Alfred Rotter Stanisławów, H. Dzunınkowski Jordanów, A. Cwiling Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Alfred Rotter w Stanisławowie. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki poleconej.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Antoni Ogrzewalski w Łukowie: Nagrodę można otrzymać biorąc udział w losowaniu. W losowaniu natomiast biorą udział tylko ci, którzy nadesłali dobre rozwiązania wszystkich zagadek.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).